



KRAKÓW P.
WSPOMNIENIA
WYGNANKI.

1108 MKD



WSPOMNIENIA WYGNANKI.

WSPOMNIENIA
WYGNANKI

PRZEZ

Saulinę Kraków.

WYDANIE PIĄTE.

Z 6ma RYCINAMI.



WARSZAWA.
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1884.

56. tabel.

Дозволено Цензурою.
Варшава 24 Октября 1883 г.



82/89-93

Dr. inu, 339588/
13

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządkiem Jana Gadowskiego.

i stały kwia-
tój izdebce
ciekawoś-
ły ją cza-
je cho-
vbra-
ae-

WSTĘP.

Przed kilkunastu laty żyła w Warszawie kobieta średniego wieku; postać jej szczupła i wysoka, twarz nadzwyczajnie blada, szara suknia, szal czarny, i kapelusz z czarną zasłoną znane były wszystkim mieszkańcom Starego-miasta, bo w tej części Warszawy obrała sobie schronienie. — Nie żądała ona nic od nikogo, nie wchodziła z nikim w stosunki, służyła sobie sama; przy kupnie rozmaitych do życia potrzebnych przedmiotów mówiła złą polszczyzną, a gdzie było można, po francuzku. — Sąsiedzi nazywali ją różnie: pokutnicą, waryjatką, najczęściej starą panną, ale kilka osób znających ją z bliska wiedziało: że się nazywała Miss Betty, że była angiellką, że z ro-

uzkich wychodźców podróżowała po
wie świecie, i ze znacznym zapasem
/, a znaczniejszym jeszcze rozlicznych
ości, osiadła na resztę życia w naszym
ie.

Dziekiem jeszcze będąc znałam ją z widze-
nia, później, kiedy siedzibę swoją przeniosła do
domu, w którym rodzina moja mieszkała, sąsiedz-
two, kilka drobnych usług które odemnie przy-
jęła, a najwięcej może młodość, zbliżyły nas do
siebie; od ukłonów przyszło do rozmowy, dalej
do wspólnych przechadzek po tarasie zamkowym,
tej ulubionej schadzce ówczesnych staro-miejskich
dzieci; nakoniec po roku może znajomości otwo-
rzyły się dla mnie drzwi jój mieszkania, które
w dziecianej wyobraźni rozkołysanej dziwnymi
o Miss Betty powieści, malowałam sobie jak cza-
rodziejski jaki przybytek.

Na trzeciem piętrze były dwie nieduże izdeb-
ki, czysto wybielone, z białą co tydzień mytą
podłogą; w pierwszej z nich kominek służył do
przyrządzania posiłku, tu stały gospodarskie
sprzęty, kilka krzeseł, stolik do roboty; w oknach
wychodzących na jezuicką dzwonnice za białą

franką wisały klatki z kanarkami i stały kwia-
ty niedrogie lecz zawsze świeże — w téj izdebce
Miss Betty przyjmowała osoby, które ciekawo-
ścią lub życzliwością wiedzione odwiedzały ją cza-
sami; w drugiej zaś, gdzie wszystkie swoje cho-
wała skarby, bywała tylko mała liczba wybra-
nych jój przyjaciół, i to w chwilach szczególne-
go usposobienia gospodyni, w chwilach kiedy
o swoich i swój przeszłości mówić miała ochotę.

Drugi ten pokoiik możnaby wziąć za muze-
um rzadkich i kosztownych rzeczy; gdyż oprócz
stołu, kanapy, i kilku krzeseł cały obwód jego
zajmowały szafy z szklannymi drzwiami, a w nich
za zielonemi frankami wisały nieznanne mi wów-
czas tkaniny, sieci, futra, leżały ogromne muszle,
igły, iglice z prostego drzewa, kamyki różnego
kształtu, owady, motyle, naczynia gliniane, —
najważniejsze zaś miejsce zajmował wielki New-
fundlandzki pięś, starannie wypchany i dwie śli-
czne papugi. — W pierwszych czasach mojego
bywania w tym przybytku osobliwości, mniema-
łam, że Miss Betty zajmuje się bardzo nauką hi-
storyi naturalnej, lecz później, kiedy co wieczór
wolno mi było siedząc na małym stoleczku słu-

chać jój opowiadań; kiedy widząc łatwość z jaką rozumiałem jój mowę dawała mi do tłómaczenia listy i wypisy z dziennika osoby bardzo jój drogićj, poznałem, że przedmioty te nie dla umysłu, lecz dla serca jój nieopisaną wartość miały, bo do każdego przywiązywało się wspomnienie istoty, którą Miss Betty przez pierwszą połowę życia swojego wśród zgryzot i udręczeń po całym szukała świece, a której stratę oplakiwała przez resztę dni swoich.

Przez kilka lat znałam Miss Betty, towarzystwo jój przyczyniło się znacznie do rozwinięcia umysłu mego, w jój rozmowie łatwiejszą jak w książkach znajdowałam naukę, a pomna jak w młodym wieku cheiwie chwytałam szczegóły jój opowiadań, mniemam że i czytelnikom moim przyjemnie będzie dowiedzieć się, zkad pochodziły osobliwości zamknięte w izdebce Miss Betty, i dlaczego tak miłemi jój były. W następujących zatem kartkach obok wiadomości, których rzetelność stwierdzić można świadectwem pism i ludzi uczonych, zamyślałam podać dzieje osoby, zajmującej najpiękniejszymi przymiotami serca i umysłu, zgasłej wprzód, nim dziwne jój życia wypadki

do powszechnój wiadomości dojść mogły;—część ich wprawdzie należy do ogółu, gdyż połączona jest ważnemi dla ludzkości zdarzeniami, lecz część bliższa jój serca, myśli, uczucia, nikomu prawie znanemi nie są; bo tylko Miss Betty udzielić ich była w stanie, a po jój śmierci w mojej jedynie pozostały pamięci.

I.

WILTON-HALL.

Przy końcu ośmnastego wieku, o dwie mile od Glasgowa stał zamek Wilton-hall zwany, odwieczna dziedzina Wiltonów rodziny; — starożytna ta budowa była ciężka, niezgrabna, ręką czasu zezerniona, okna jej w nierównych od siebie powybijane odstępach, świadczyły, że wznosząc ją nie zważano bynajmniej na harmonię i zewnętrzną ozdobę, a dwie szare wieże sterujące po bokach zamku jak dwaj posepni strażnicy, drzwi z grubych tarcie dębowych żelaznemi prętami obite, i szczątki starego muru w którym gdzieś niegdzie strzelnice widać było, dowodziły: że miejsce to nie zawsze było spokojnem, że się tu częste i ciężkie staczały walki.

W czasie o którym wspominam, miejsce kłótliwych i bitnych baronów zajął spokojny lord Wilton, biegły dworzanin i polityk, a młoda piękna jego małżonka zasiadła w szerokim krzesle, które przed laty poważnym, surowym, szkockim *paniom* służyło; -- zamek zaś lubo nie zmienił jeszcze ponuręj powierzchowności swojej, wewnątrz przecież mieścił wszystko, czém tylko smak wytworny i wielkie dostatki ozdobić i umilić życie potrafią.

Pięknego ranka, na miękkim trawniku zajmującym środek ogromnego dziedzińca, dziecię w proste ubrane sukienki igrało z młodym wyżłem, a przy żelaznej kracie na drogę wychodzącej, dwie osoby różne wiekiem, ubiorem i ułożeniem, żwawą prowadziły rozmowę.

Młoda dziewczica w szkockich góralek ubraniu, w krótkiej kratkowanej spodniczce, w czarnym gorsecie z pod którego cienkie białe rękawy szeroko na jej drobne ręce spadały, ślicznemi błękitnemi oczyma poglądała na niemłodego człowieka, stojącego po drugiej stronie kraty, i potrzęsając smutnie głową słuchała słów jego.

Mężczyzna ów, lubo porządnie ubrany, lubo

łagodnie mówiący, miał jakiś dziki wyraz w pomarszczonej twarzy, a z wielkich czarnych oczu przemawiało obłąkanie: owa ciężka, a tyle w Szkocyi szanowana niedola.

— No Maryjo! mówił: bądź dobrą dla ojca, daj mi jeszcze co więcej.

— Nie mam ojca kochany! odrzekła dziewczyna, przed tygodniem posłałam matce wszystko co miałam; czyliż nie wiesz o tem?

— Nie wiem, bo już dawno nie byłem w domu.

— Jakto? krzyknęła z przerażeniem Maryja, więcej jak od tygodnia błądasz się ojca po drogach? — a biedna Betty?

— Biedna? spojrzij na nią, jak jej twarzyczka kwitnie, jak się oczy śmieją — biedna! cóż to jej przy mnie brakuje?

Westchnęła Maryja.

— Ależ ojca! wszak sam kilku groszy żadasz odemnie?

— To co innego! to dla zaspokojenia mego przywidzenia, ale na potrzebach, na wygodach życia nigdy mi nie zbywa, bo... widzisz... tobie i pociechu mogę to powiedzieć — widzisz ten kij?... to laska czarnoksiężka; gdzie tylko stąpie

przyjmują mnie mile, na pierwsze słowo otwierają się przedemną drzwi chaty i bramy pałacu, dla mnie najcieplejszy kącik, najlepsze jedzenie, najwygodniejsze posłanie, — jam pan całego kraju, a to wszystko mojej łasce winienem, o! to talizman.

Maryja znowu potrząsnęła głową, a w oczach jej stanęły, bo wiedziała ona, że talizmanem ojca była utrata rozumu.

— Widzisz, mówił dalej: że Betty nie biedna, — za te kilka pensów coś mi dała, kupię jej kółczyki; ale nie mam nic dla żony, wracam z podróży dłużej, dalekiej, cóż żonie przyniosę?...

— Jeżeli o to idzie, zawołała wesoło Maryja, oto masz ojca kochany! weź ten pierścionek ja się obejdę bez niego, a dla matki, oh! dla drogiej matki mojej, oddałabym wszystkie w świecie klejnoty, choćbym ich tyle miała co mylady.

— Dobraś dziewczyna! bądź zdrowa.... A pamiętaj o przyrzeczeniu... jak będziesz miała brylanty...

— W tej chwili otworzyła się krata, karetka lorda Wilton wjechała na dziedziniec, Maryja poskoczyła ku dziewczynce, która w igraszkach

z wyżłem stoczyła się na brzeg trawnika, i o mało pod konie nie wpadła, a kiedy ją podniosła, już obłąkanego nie było przz kracie, już nawet głos brzmiały, którym jakąś starą dziwną nucił piosenkę, znikł w oddaleniu.

Nie bardzo się tem zasmuciła Maryja, gdyż szczególnym trafem Gilbert zapomniał małej Elżbiety, a siostra troskliwa o los dziecięcia, które obłąkany ze zbytku przywiązania wszędzie wodził z sobą, szczęśliwa była myślą, że na pół już zdziczała dziewczynka, powróci do zwyczajnego życia w zamku lady Wilton, której pozwolenie na to, łatwo się wyjednać spodziewała.

Skoro obiedwie siostry weszły do pokoiku Maryi, Betty posiliwszy się cokolwiek, usiadła w starém krześle z poręczami, a znużona drogą i zabawą usnęła wkrótce twardym snem dziecięcym; młoda zaś pokojowa zajęła się przyrzadzaniem domowego ubioru dla milady, której co chwila wyglądano z Glasgowa.

Niedługo, stary Daniel kamerdynerlorda wszedł do pokoju, trzymając w ręku drewnianą głowę, a na niej ogromną wypudrowaną perukę; skłonił się ceremonialnie dziewczynie, i chcąc sobie w tej

chwili przynajmniej zyskać jej przychylność, zaczął rozmowę od uwag nad pięknnością śpiącej Betty, dalej chwalił zręczność z jaką Maryja opinała wstążkami koronkowy koronek, a w końcu, niby od niechcenia dodał stary dworak:

— Już to wiadomo, że panna Maryja zręczna jest i umiejętną we wszystkim; jak to panna wszystko w porządku utrzymuje! jak szale i futra od molów chronić umie! — piękna to sztuka, i nieraz mnieby się także przydała; bo wyznam, że choć już tyle lat mam zaszczyt zwać się kamerdynerem Milorda, nie wiem, jak naprzykład zapakować perukę na kilka miesięcy; a dopiero w przyszłym roku na zebraniu parlamentu potrzebną będzie. — Może mi panna Maryja udzieli swoich wiadomości? a może nawet w dobroci swojej zechce ten szacowny strój głowy wziąć pod swoją wyłączną opiekę?

— Bardzo chętnie! odrzekło dziewczę, nie mogąc się wstrzymać od uśmiechu; proszę postawić na stoliku tę szanowną perukę, już ja ją do przyszłej wiosny przechowam!

Układny starzec wśród ukłonów i podziękowań wysunął się za drzwi, a Maryja zamknawszy

je na klucz poskoczyła do drugiego wyjścia, prowadzącego do pokoju lady Wilton, która w tej właśnie chwili powróciła z Glasgowa.

Maryja była ulubioną swą pani, od kilku lat wzięta do zamku wyuczyła się wszelkich robót kobiecych; zręczna, przemyślna, głęboko pobożna, czasem wesoła jak dziecko; czasem jak sierota tkliwa, zjednała sobie względy milady, a przestając sama na jej przychylności, hojne dary pani swojej przesyłała matce, która o kilka mil od Wilton-hallu w maleńkiej mieszkając chatce, pracowała usilnie na wyżywienie sześciolatniej Betty, i męża, niegdyś jednego z najlepszych cieśli, dziś przez nieszczęśliwe spadnięcie z rusztowania pozbawionego rozumu.

Zmieniając ubranie, milady opowiadała Maryi jakie widziała stroje i hafty, jakich nakupiła towarów, jak między wszystkimi sklepami do jednego się tłoczono, bo w nim na krótki czas osiadł złotnik świeżo z Londynu przybyły, i posiadający zapas najbogatszych, i najmodniejszych klejnotów.

— Patrz na ten krzyżyk, misterna robota i łańcuszek stosowny bardzo, nieprawdaż?

— Prześliczny jest milady!

— Niechże ci służy moje dziecko.

— Czy podobna pani! tak kosztowny klejnot...

— Nie drogo go kupiłam; — przytem lubię, żebym w domu nie sama tylko ładnie ubrana była, a tyś taka skąpa, że chyba ja o twoim stroju myśleć muszę.

Słowa te wymówiła lady Wilton z przyjaznym uśmiechem, bo wiedziała, dlaczego Maryja tak oszczędną była dla siebie; — zarumienione dziewczę ucałowało z uczuciem jej rękę, a lady Wilton rzekła dalej:

— Prócz potrzebnych sprawunków pozwoliłam też sobie na niemały zbytek; — spojrzysz na moją głowę Maryjo! cóż?....

— Widzę pani! — oh! co za świetne piórko! czy to wszystko brylanty? o! to pewno nie mało kosztuje; — ale co też dla pani zbyt kosztownem być może!

— Jednakże długo się nad tem kupnem namyślałam, bo trzysta funtów szterlingów, to ogromna suma!

— Trzysta funtów! prawda, to majątek! — rzekła Maryja.

-- Dla ciebie zapewne moja Maryjo, ale nie dla mnie.

— Pani zapewne każe to schować do swojej gotowalni?

— Jeszcze; — chcę żeby milord ten nowy strój zobaczył; — weźże kochanko toczek, który oto Robert przyniósł w pudełku, przymocuj do niego to strusie pióro, osadź je w śrubeczkę, pod brylantami ukrytą, i przyjdź mi poprawić włosy.

Maryja wyszła do swojej izdebki, bo tam miała potrzebne do szycia narzędzia, odświeżyła stroik zmięty cokolwiek podróżą, przyszyła białe powiewne pióro, wpięła brylantową spinkę, myśląc mimowolnie, jak szczęśliwie i spokojnie biedna jej matka żyćby mogła za sumę na to świecadelko wydana, i ustawiwszy toczek na podstawce wróciła do pani.

II.

DZIECINNA ZABAWA.

Podczas gdy Maryja zajmuje się przebieraniem lady Wilton, i układaniem przywiezionych nowości, maleńka Betty otworzyła oczy, przetarła je, otrząsnęła się z długiego snu, i ujrawszy się sama, postąpiła ku drzwiom do sieni, by się na świeży trawnik wydostać, gdzie znajomy jej wyżeł wyskakiwał ohochozo; lecz drzwi były zamknięte, przezorna Maryja klucz z nich nawet wzięła, — Betty popatrzawszy oknem na dziedziniec, i słysząc głos Maryi w przyległym pokoju, pewna że ją siostra wkrótce uwolni, nie zbliżyła się nawet do drzwi lady Wilton, bo nawykła do wielkiego dla niej uszanowania, lecz czynna i żywa wynalazła sobie wnet zajęcie i zabawę.

Ogromna wypudrowana peruka najprzód ściągnęła jej uwagę, — widziała ją ona poprzednio na głowie lorda Wilton i dziecinnym zwyczajem wyobraziła go sobie w postaci drewnianej głowy, a kłaniając się jej niziutko, rozpoczęła rozmowę, na jakąby się w obecności prawdziwego pana zamku nigdy zdobyć nie śmiała.

— Jak się masz małeńka? — dawno tu jesteś? jadłaś obiad? może ci czego potrzeba? — może chcesz pieniędzy?

Wszystko to niby udające lorda jak najgrubszym wymawiała głosem, i za każdym pytaniem odpowiadała za siebie piskliwie:

— Zdrowam milordzie! — przed godziną przyszedłam z ojcem, ale nie wiem gdzie mi się podział. — Jadłam, dziękuję. Jeżeli łaska milorda, tobym prosiła o jedną z tych laleczek co na waszym stoliku stoją. — O! pieniądze! pieniądze! bardzo je lubię, a jeszcze białe, świecące i ojciecby się ze mną niemi zabawił.

A! otóż i milady! — rzekła mała gadułka dygając przed czepkiem chwiejącym się na drewnianej podstawce. — Jak pięknie ubrana! jak jój do twarzy! — O! ale to nie sztuka, ładnemu we

wszystkiem ładnie. — Zobaczą jak też milordowi w czepeczku będzie.

To mówiąc, wspięła się do stolika, i na geste białe kędziory peruki włożyła wytworny toczek.

— Ha! ha! ha! a to zabawnie! — woła klaszcząc w ręce; — bo też ja to jakoś na bakier wśladziłam. — No! teraz? pfe? szkaradnie! — już to widać panom w czepkach nieładnie.

Zdjęła lekkie ubranie z peruki, lecz po chwili znów rzecze:

— W cóż milorda ubiorę? a już wiem; odejmę ten świecący kawałek, to będzie korona; — i puściła dziecina nie znając wartości rzeczy, śmiała ręką odpiawszy brylantowe piórko, zatknęła je w sztuczne skręty; — poprawia, przechyla, spogląda to w tę to w ową stronę, powtarzając wyrazy starego Daniela, które raz przypadkiem uchwyciła:

— A to feralny dzień jakiś! już widzę milordowi nie dogodzę. Ale kiedy tak, dodała: to nie dam; — proszę sobie zostać w tej umaczonej szopie; — nie! nie potrzeba korony, już się i tak ubieliła.

Lecz próżno chce odpiąć kosztowny klejnot,

liczne końce, szrubka i trzpień złoty zatoneły we włosach, i ile razy wyciągnie piórko z jednej strony, tylekroć z drugiej moenię je jeszcze zagłębi, po chwili złoto i brylanty przypruszone obficie pudrem znikły prawie z przed oczu Elżbietki, a rozgniewana próżnym usiłowaniem dziewczynka, trzepnęła jeszcze parę razy perukę drobną lecz nielekką rączką, i odskakując od stołu rzekła:

— Już temu chyba sama Maryja poradzi!

Nagle na spokojnym dziedzińcu Wilton-hallu niezwykle hałas dał się słyszeć; dzwonki, piszczałki, dzikie śpiewy jakieś zabrzmiały, Betty skoczyła do otwartego okna, i wnet lord Wilton, i jego peruka, i zakopana w niej mniemana korona znika ję z pamięci.

III.

CYGANI.

Gromada cyganów w dzikich podskokach snuła się po dziedzińcu, czarne ich i twarde włosy unosiły się za każdym poruszeniem, ubiór dzwaczny, najczęściej z różnobarwnych płatów złożony, mężczyźni z kijami w ręku i torbami na plecach, kobiety z dziećmi w płachtach na ramionach zawieszonych, starsze dzieci zaledwie ubrane; a wszystkich twarze ogorzałe, rysy ostre, język obcy i zręczne przelamywanie się w nieznanym tańcu malowniczy przedstawiało widok.

W samym środku gromady, na dwojkołnym wózku siedział starzec poważny; — twarz jego piękna lubo równie jak innych ogorzała, włosy zupełnie białe spadające mu na ramiona, ubiór

prawie cały, i kapelusz na głowie odznaczały go jako naczelnika; — i rzeczywiście był on przedmiotem czei i poszanowania całej czeredy. Był to król cygański, jedyny ich władca w całym kraju, który również jak oni, bez domu, bez rodziny, wędrował po całej Szkocyi, i dziś w jednym, jutro w drugim zgromadzeniu odbierał należne sobie hołdy, udzielał nauki, i wymierzał sprawiedliwość.

Przybycie tych niespodziewanych i nieproszonych gości, całą ludność zamkową ściągnęło na dziedziniec, nawet lady Wilton nie mogła się oprzeć ciekawości, i pochyłona w oknie poglądała i przysłuchiwała się z zajęciem, jak cyganki to z kart, to z ręki wróżyły służącym, i jak ci w miarę złych lub dobrych przepowiedni, darzyli wróżki, już pieniędzmi, już do stroju potrzebnymi przedmiotami.

Stary Daniel, uważający się za pierwszego pomiędzy zamkową służbą, a niemogący się jednak oprzeć żądzy zbadania przyszłości swojej, zbliżył się do króla cygańskiego, który dotąd nie mieszał się bynajmniej do swoich podwładnych i podając mu na dłoni kilka sztuk monety rzekł:

— No stary! powiedz, co mnie czeka?

Starzec podniósł się dumnie, a odtrącając rękę Daniela odpowiedział:

— Ja z takich rąk nie wróżę; — ale.. — dodał zbliżając się z powagą pod okno lady Wilton; — jeżeli milady pozwoli mi swęj dłoni, okażę co umie Gilpin z Snowdonu.

Tak nagle przemówienie zmieszało nieco lady Wilton, lecz kiedy w niepewności czy ma zezwolić na żądanie starca, poglądała dokoła, małeńka główka Betty ciekawie z narożnego wychyłona okna, podała jęj myśl doświadczenia sztuki Gilpina, i ubawienia się jego kosztem.

— Nie pragnę wiedzieć przyszłości — rzekła do starca, — ale oto moja córka dla nięj mi powrócie. Maryjo zejdź z miss Betty na dziedziniec, — dodała odwracając się do swęj ulubionęj, a ciszej rzekła: — i nie wydaj tajemnicy.

Gilpin przenikliwym wzrokiem rzucił na twarz dziecięcia; twarzyczka świeża, jasne włosy Betty zdawały się miłe na nim sprawiać wrażenie, lecz kiedy zesła z Maryją na dziedziniec, kiedy ujrzał proste jęj ubranie, doszedł podstępny lady Wilton, i pewnie ją za to ukarać postanowił! bo wpatru-

jąc się w dziewczynkę zmarszczył nagle gęste brwi swoje, potrząsnął głową i ponurym przemówił głosem:

— Piękne masz rysy dziecino, i dobre serduszko, ale lepiejby ci było na ten świat się nie rodzić, bo z twojej przyczyny zakrwawi się serce matki i ojca twego, a najmilsze ci istoty do zguby potracisz.

Przełęczona Maryja schwyła siostrę na ręce, a przyciskając ją do piersi, blada, drżąca, przybiegła do pokoju pani, która również żałując żartu swego, rzuciła starcowi garść pieniędzy, i dała znak ręką, by się z całą gromadą oddalił.

Jeszcze przez czas jakiś cygani wili się po dziedzińcu, jeszcze szmer ich mowy dochodził do okien zamku; nakoniec wszystko ucichło, żelazna krata zamknęła się za nimi, i każdy do swego zatrudnienia powrócił.

Lady Wilton zatrzymała przy sobie Elżbietkę, i chcąc nagrodzić chwilowy przestrach, którego ją mimowolnie nabawiła, posadziła dziecię przy stole założonym rycinami, dała jej paczkę cukierków, kilka kokard z gotowalni, a sama siadłszy przy niej, patrzyła z zajęciem na zabawę

dzieciny, i odpowiadała łaskawie na tysiączne jej pytania.

Maryja wszedłszy do swego pokoju poczęła go porządkować; — pamiętała ona przyrzeczenie Danielowi dane, lecz że za kilka dni miała wydobywać na zimę futra i szuby z letniego schowania, odłożyła zatem opatrzenie peruki do owego czasu, i dla uprzątnienia miejsca, wstawiła ją tymczasowo w szafę, gdzie stare suknie chowano. — Głośny śmiech Elżbietki w przyległym pokoju zwrócił nagle jej uwagę; — baczna Maryja obawiając się by jej siostra zbytnią pustotą nie naraziła się pani, weszła do lady Wilton; — lecz w tejże prawie chwili, przy kracie dziedzińca dał się słyszeć głos dobrze jej znajomy wołający:

— Betty! Elżbieto! moje dziecię! wróć do ojca! A po chwili tenże sam głos wołał gniewnie:

— Ach! porywey! nie chcecie mi oddać mojej córki? otwierajcie! otwierajcie! bo wyłamie kratę.

I rzeczywiście Gilbert silną dłonią wstrząsał żelazne pręty.

Maryja ujęła siostrę za rękę, a chcąc czém prędzej zapobiedz dalszym ojca uniesieniom, przez pokoje pani zbiegła do drzwi wchodowych,

w kilku skokach przebyła dziedziniec i rzekła do Gilberta:

— Daruj mój ojeze! myślałam żeś mi Elżbietkę na parę dni zostawił.

— Nie! o! nie! ja bez niej żyć nie mogę, prawda że czasem o wszystkim i o niej nawet zapominam, ale to nie na długo. — Dziś oto, odszedłem ztąd kawał drogi, bliżej mi było do domu niż do ciebie, a przecież wróciłem.

Obłąkany uchwycił dziewczynkę na ręce, przycisnął ją silnie do piersi, i skinieniem głowy pożegnawszy starszą córkę, oddalił się w tym samym co rano kierunku.

Maryja wracając od kraty spojrzała ku oknom zamkowym; — w jednym z nich stała lady Wilton, i dawała jój ręką znaki pośpiechu: dziewczyna weszła żwawo do pokoju, a ujrzawszy w nim milorda, domyśliła się, że pani pragnie pokazać mu nowe swoje brylanty; wbiega więc do swojej izdebki, chwyta czepeczek leżący na stole, odmuchuje strusie pióro, lecz brylantowe?.. wiemy gdzie spoczywa.

Skłopotana Maryja przerzuca wszystko na stole, schyla się na podłogę, patrzy po wszystkich stro-

nach, nakoniec śmiertelnie blada i drżąca, z obłąkanym wzrokiem wchodzi do pokoju lady Wilton.

— A co Maryjo? — rzecze ta z uśmiechem nie postrzegając jój zmiany.

— Ach pani!

— Cóż ci jest? czyś słaba Maryjo?

— Nie, ale to piórko!..

— Cóż?..

— Zginęło!

— Pióro brylantowe zginęło!.. wieś ta rozległa się echem po całym zamku; — ucziwi słuchający dbali o swoją sławę, zebrali się w salonie pragnąc państwu wyrazić ubolewanie swoje, i przekonac ich, że są wszysey obecni, i gotowi do szczerych odpowiedzi; milady z mężem raz jeszcze przejrzeni izdebkę Maryi; — piórko zarzucić się nigdzie nie mogło, przez pokój pani nikt nie przechodził prócz Maryi... lecz drugie drzwi otwierały się do sieni i na boczne wschody; tamtędy mógł wejść kto obcy!..

— Czy od powrotu milady był kto obcy w dziedzińcu zamkowym? — zapytał lord Wilton zgromadzonej czeladzi.

— Banda cyganów, — odrzekł z nich jeden.

— A więc cygani, cygani skradli brylanty mi lady! w pogoń za cyganami! — wołano ze wszech stron.

— Cierpliwie tylko, — rzekł spokojnie lord Wilton; — osiodłać cztery konie, czterech ludzi niech będzie gotowymi do drogi, i dopóki nie wrócę, niechaj nikt nie wychodzi za kratę. — Oddalił się do swego pokoju, i niedługo powrócił z czterema zapieczętowanymi papierami.

— Diek, weź ten list i jedź edyburgskim gościńcem, jeżeli spotkasz cyganów, dasz o ich bytności znać w najbliższym miasteczku, i szeryfowi oddasz to pismo.

— Wy trzej, jedźcie razem do rozstajnej drogi, tam rozłączcie się na trzy strony; uważać będziecie w którym miejscu są teraz cygani, i pośpieszycie do Glasgowa, a tam każdy z osobna odda to pismo lordowi komendantowi.

Czterej ludzie wyjechali razem, lord Wilton kazał zamknąć kratę, i klucze wziął do siebie, żona jego smutna i niespokojna chodziła po pokoju, a biedna Maryja, przerażona strasznym wypadkiem, ogłuszona niezwykłym ruchem, z załamaniem rękami, na pół żywa padła na krzesło

stwa, a gniewne i obelżywe wyrazy sypnęły się z ust wszystkich.

— Milordzie! — rzekł Gilpin, — ludzie twoi znieważają mnie, ani ja, ani żaden z bandy przy której bawię w tym czasie, nawet szpilki nie wyніósł z twego zamku.

— Jednakże, — rzekł lord Wilton, — prócz was nie było tu nikogo obcego.

— Powtarzam, swoi wzięść mogli. Jam cygan, lecz krzywdy i obelgi nie zniósę; mylordzie! cofnij swoje oskarżenie, bo jeżeli dowiodę niewinności mojej i mojej gromady, wtedy ja dochodząc będę niesłusznie wyrządzonej mi zniewagi.

Uśmiechnął się lord Wilton.

— Nie cofam oskarżenia, — rzekł.

— Niech i tak będzie! — prowadźcież mnie do więzienia; — ale wprzód — czy mógłbym widzieć miejsce gdzie miano popełnić kradzież?

— Owszem!

Poprowadzono Gilpina do izdebki Maryi, a tłum sług idących za nim, szeptał zeicha:

— Pewnie podrzuci brylanty!

Gilpin stanawszy przy stole, na którym jeszcze leżał nieszczęsny czepek, powtórnie we-

zwał lorda Wilton, by cofnął oskarżenie, lecz na próżno.

— Którędyż miał wejść sprawca kradzieży? czy tą drogą, którą szliśmy teraz?

— Co za niewiniątko! — rzekł Daniel, — wszak widzisz drzwi drugie.

— Gdzie one prowadzą?

— Na dziedziniec przez kręte schody.

— Proszę je otworzyć.

Coraz bardziej zdziwiony śmiałością starca, lord Wilton sam zbliżył się ku drzwiom, i ujął za klamkę, lecz otworzyć nie mógł.

— Mylordzie! — zawołał Gilpin; — przysięgnę i ja i wszysej moi, że te drzwi były również zamknięte w czasie naszej bytności w zamku.

Wszystkie oczy zwróciły się na Maryę, która nieprzytomna sobie stała przy stole, i osłupiałym wzrokiem poglądała na Gilpina, który ją tegoż samego ranka tak swoją przepowiednią przeraził.

— Gdzie klucz od tych drzwi Maryjo? — rzekła łagodnie lady Wilton.

— Maryja machinalnie sięgnęła do fartuszka, i podała klucz żądany.

Grobowa cisza zaległa pokój; litość, niespokojność, obawa o lubioną powszechnie Maryę wszystkie serca zajęła.

— Teraz, — rzekł Gilpin, — wracajmy do Glasgowa; przed sądem przysięgłych dowiemy się kto winny?

V.

DZIENNIK MARYI.

.....do lady Wilton.

Pani! przyjmij najprzód moje dzięki za to, że zajmując się mną łaskawie, kazałaś mnie czytać i pisać nauczyć; — cóż to za pociecha! mój Boże! gdybym tego nie umiała, na czémże zeszyłyby mi te długie dni, te bezsenne noce, które sama jedna wśród więziennych ścian przepędzam. — Już teraz jestem spokojniejszą trochę, ale z początku, cóż się ze mną działo! — Przywykła z dzieciństwa do pieczętów dobrej matki, zepsuta twojém łaskawém pobłażaniem, pani! w więzieniu, pod strażą surowego dozorecy, i... oskarżona... o kradzież!...

Długo, długo nie mogłam zrozumieć czy we śnie czy na jawie tak okropna zaszła ze mną zmiana, ale samotność i zamknięcie prędko przytomność umysłu powraca, dziś jasno, wyraźnie widzę moje położenie, i nie rozpaczam; — o nie! ja ufam w Bogu, On mię tylko doświadcza nie karze; wszakże jestem niewinną, ty wiesz o pani! że jabym się nigdy takiej nie dopuściła podłości!

Prawda, że próżno gubię się w domysłach, nie mogąc pojąć jakim sposobem z pokoju, w którym nikt prócz mnie nie był, mogły zginąć te nieszczęsne brylanty; — ale powtarzam, ufnie i cierpliwie czekam wyjaśnienia téj sprawy, i pewną jestem, że cierpienia moje nie długo potrwają.

Nie wiem jeszcze, kiedy mnie sędzić będą, podobno zbierają świadków i dowody — czego? nie rozumiem, ależ! bo ja spraw sądowych nie rozumiem wcale.

Mniemałam, że myśli moje będą mogły dojść niekiedy do pani, ale niestety, strażnik powiedział mi dziś stanowczo, że lubo mu polecono dostarczać mi papieru i innych piśmiennych przedmio-

tów, listów moich nikomu oddawać ani przysyłać nie może. Jestem pod sądem, wszystkie myśli, każde słowo moje, sędziów jest własnością; ja z nikim żadnych nie powinnam mieć związków, aż dopóki (jak strażnik ów powiada), sąd mnie nie potępi lub nie uniewinni. — O! uniewinni pewno! nieprawdaż pani? mogłoby być inaczej? — pojmuję ja, że uwięzienie moje potrzebnem było dla uniewinnienia starego Gilpina i jego rodziny; — żądanie jego słusznem uznaję, nie oburza mnie ono, i owszem, uważam to za dowód szlachetnej duszy. — Pani w dobroci swojej dla mnie ofiarowałaś mu wynagrodzenie za to, że go niesłusznie posądzono; — on nie przyjął nagrody; jemu nie idzie o pieniądze, on tylko chce podnieść i oczyścić imię swojego rodu; — bo też — czyż dlatego, że się cyganem urodził, każdy ma prawo zwać go oszustem i zbrodniarzem? Rozumiem teraz jak gorzko być mu musiało, kiedy go związanego przyprowadzono do Wilton-hallu; kiedy po drodze i w zamku witano go zniewagą, a on był niewinny!

Tak . . . bo drzwi były zamknięte, drugimi nikt prócz mnie nie wchodził . . . jak się to je-

dnak stało? . . . czyby Betty? . . . ale nie, ona by nie tknęła cudzej własności, a gdyby nawet przez pustotę chciała sobie błyszczący klejnot przywłaszczyć, nie miała gdzie go ukryć; — owego pamiętnego dnia ubrana była w szeroką, bawełnianą sukienkę, nie miała paska, ani kieszonki, ani chusteczki na szyi; — u kraty, przy ojcu poprawiałam jej ubranie, byłabym spostrzegła. — Ha! to się pewnie wyjaśni. — Tymczasem często pisać będę, może choć kiedy pismo moje dojdzie do ciebie pani, i przekona cię, że biedna Maryja nie stała się niegodną twojej dobroci. — Nie, nigdy nie zapomnę, jak panią przeraziła myśl, że podejrzenie o kradzież paś na mnie może, jak pragnęłaś zatrzeć tę sprawę, zrzekając się odzyskania straty, pragnąc milezenie Gilpina złotem okupić; — a potem kiedy mnie miano brać do więzienia, nie w więzach wśród surowych sług sprawiedliwości, lecz w twoim pani powozie, obok ciebie przebyłam drogę do Edynburga wiodącą; tyś mnie jak własne dziecię sędziom powierzyła, opieki twojej doznaję nieustannie, czuję ją w każdej chwili, w łagodnym obchodzeniu się ostrego strażnika, w wygodach życia, w tej możności czer-

pania pociechy i odwagi z ksiąg pobożnych, w tém ułatwieniu i uldze jakiej doznaję wylewając na papier uczucia moje — dzięki ci raz jeszcze pani... ale... slysze otwierają drzwi moje — to niezwykła pora, musiało się stać coś nadzwyczajnego.

Boże mój! co za próby! moja matka, moja biedna, droga matka o tyle mil przybiegła dla widzenia się ze mną. — Wyznała, że w oddaleniu, nie widząc mnie od dawna, posłyszawszy pod jakim jestem zarzutem, zachwiała się w zaufaniu we mnie, zwątpiła o władzy słów i nauk, które od dzieciństwa w serce moje wszczepiła. — Niepokojna, nie wytechnęła nawet z podróży, lecz korzystając z wyznaczonej na to godziny, kurzem okryta stawiała się w rozmównicy, by mnie widzieć, by na mojem czole wyczytać hańbę lub pociechę. — O! jakimże wzrokiem patrzyła na mnie, jak jój usta drżały, gdy tysięczne zadawszy mi pytania względem zginionego piórka, słuchała opowiadania mego! z jak tkliwém uczuciem przycisnęła usta do mego czoła przez kratę rozmównicy, kiedy się przekonała o mojej niewinności. —

O, serce matki! ona również jak ja nie rozumie całego tego wypadku, a przecież mi wierzy, płacze z radości myśląc, że serca mego nie splamiła i nie splami zbrodnia, choć nietyłe ile ja ufa przyszłości, nie tak śmiało końca całej sprawy wygląda; — wraca do domu spokojnie, chociaż nieraz jeszcze imię moje z szyderstwem i pogardą wymówione uderzy jój ucho.

Ojciec mój oddawna już nie był w domu, Betty ciągle z nim się tuła; — jednakże, lepiejby dla mnie było, gdyby wrócili oboje, możeby się od Elżbietki dowiedzieć czego można; — choć rozważając wszystko, pewną prawie jestem, że ona zginionego klejnotu nawet nie widziała: — odeszłam ją śpiącą, gwarem cyganów zbudzona ukazała się w oknie na chwilę, ztamtąd sprowadziłam ją sama na dziedziniec, po ową straszną wróżbę, ze mną wróciła na górę i nie weszła już do mego pokoju.

Mówiła mi matka, że na prośby lorda i lady Wilton sąd chciał pominąć oskarżenie moje, lecz mściwy Gilpin domaga się ścisłego wymierzenia sprawiedliwości, jemu idzie o przywrócenie dobrego imienia cyganom! — śmieszna rzecz!...

a jednak prawdziwa; bo u nich nie występki, lecz niezręczność hańbi; dać się schwytać na kradzieży w przytomności swego zwierzchnika, byłaby to plama dla całej gromady.

Od trzech już tygodni jestem w więzieniu, i w zupełnej o moim losie niepewności, ale teraz zdaje się, że wkrótce wszystko rozstrzygnionem będzie; dziś był u mnie obrońca, którego każdemu oskarżonemu wybrać sobie wolno, ja sama nie znam tu nikogo, ale lord Wilton uprosił jednego z najznakomitszych prawników, by się zajął moją sprawą.

Jest to mąż w podeszłym już wieku, poważny i surowy, ze mną jednakże mówił uprzejmie, wypytywał się o najdrobniejsze szczegóły, zapisywał odpowiedzi moje, a osobiwie zwracając uwagę na rozkład pokoi Wilton-hallu, powtarzał:

— Nikt obcy wejść nie mógł! to będzie trudno wytłumaczyć!

I chodził szybko po ciasnej ciele, a potem stawając przedemną rzekł z dziwnym wyrazem:

— Ależ dziecię moje! przypomnij tylko sobie

kiedy — uważaj! — kiedy zamknęłaś drzwi twego pokoju.

— Zamknęłam je w chwili, gdy lady Wilton wróciwszy z Glasgowa wysiadła z powozu.

— I kiedy brylantów jeszcze nie było?

— Tak jest, później dopiero wniosłam je sama.

— Może później drzwi otwierałaś?

— Ani na chwilę.

— Może twoja siostra, która jak mówisz była w pokoju?

— Betty spała, a klucz był u mnie w kieszeni.

— Dziwna, dziwna rzecz! rzekł adwokat, i wzięwszy mnie za rękę, z tkliwością, ze łzami prawie mówił:

— Możeś zapomniała, — bo... widzisz... dla ocalenia ciebie, trzeba mi przynajmniej wątpliwości o zamknięciu owych drzwi nieszczęsnych. — Gdyby były chociaż na chwilę otwarte w czasie gdy stracony klejnot był już w pokoju, wszystkoby się skończyło. — Mógłby wejść kto obcy, cygan który naprzykład... bo że jeden z nich był na

schodach i próbował drzwi otworzyć, to wiem z pewnością od starego Gilpina.

I poważny adwokat patrzył na mnie z trwoga, z niespokojnością oczekując odpowiedzi mojej.

Mileżałam; — burzyło mi się w głowie, szumiało w uszach; jedném słowem mogłam zakończyć wszystko, nie obwiniając nikogo, odzyskać wolność, wrócić do domu, do matki; obrońca mój czekał na to słowo, pragnął je usłyszeć; — już otworzyłam usta, ale na szczęście czy nie — szczęście nie mogłam wyrzec kłamstwa.

— I jakże? — rzekł obrońca.

— Jak już mówiłam. — Niech się dzieje wola Boża.

Ścisnął moją rękę.

— Tak, dziecię moje! niech się dzieje wola Boga, On jako obrońca prawdy, nie dopuści twój zguby.

VI.

RODZINA OSKARŻONEJ.

Matka Maryi pocieszona cokolwiek widzeniem się z córką, poleciwszy ją raz jeszcze dobrotliwej opiece lady Wilton, wróciła do domu, do pracy, i całym sercem ufając Bogu, ze smutkiem lecz bez goryczy myślała o cierpieniu ukochanego dziecięcia, i niespokojnie liczyła w myśli, od jak dawna nie widziała się z mężem i młodszą córką. — Kiedy już doszła do swój wioseczki, zdziwiło ją niemało, że drzwi i okiennice, które wychodząc pozamykała starannie, były otwarte; — przyśpieszała kroku, wbiega do chatki, i spostrzega małą Betty spoczywającą na łóżku, a przy niej Gilberta siedzącego z spuszczoną głową i założonemi na piersiach rękami.

Krótko trwała radość biednej kobiety, Elżbietki twarzyczka rozpalona i nabrzękła, usta spieczone, przymknięte oczy, wskazywały wyraźnie, że bezwładność dziewczęcia nie ze snu lub utrudzenia, ale z straszliwej pochodziła choroby.

Betty miała ospe; — nieprzytomny sobie ojciec nie poznał tego z początku, słabe i skarżące się dziecię uspokajał łakotkami wzmagającemi jego cierpienie; lecz widząc, że ani pieszczoty, ani spoczynek, ani leki wiejskich kobiet, od których zawsze liściowego doznawał przyjęcia, nie nie pomagały, nie rozumem zapewne, lecz uczuciem wiedziony, przyniósł Elżbietkę pod domową strzechę, oddał ją w opiekę matce, i sam, lubo nie lubił ciasnych ścian chaty, wśród których zawsze zbyt duszno mu było, zasiadł przy łóżku chorój.

Rozrzewniający to był widok: jak biedna matka kryjąc w sercu obawę o jedno dziecię, wszelkiemi siłami ratowała drugie; — jak ów obłąkany, który od lat już kilku tułacze wiódł życie, któremu zdawało się, że jest panem wszystkiego co go otacza, który w niewiadomości o nieszczęściu swoim od rana do nocy wesołe wyśpiewywał

pieśni, teraz smutny, poważny, niewzruszenie czuwał nad cierpiącą dzieciną, wypełniał ściśle drobne polecenia żony odnoszące się do chorój; a jeżeli czasem z nawyknięcia, bez myśli wydał kilka śpiewnych dźwięków, natychmiast gniewnie podniósł do ust palec, i resztę dnia w głębokim przepędzał milczeniu.

Mimo najtkliwszych starań wzmagało się cierpienie Elżbietki, a w miarę wzrastającej jej choroby, pomnażał się smutek i ponurość Gilberta, żona jego ze wszystkich stron sztraszliwym niepokojem dręczona, przewidując, że ciągłe pogładanie na boleść ulubionego dziecięcia, bardziej jeszcze obłąkanemu zaszkodzić może, oddalała go od łóżeczka Betty pod różnemi pozorami, które nie zawsze jej się udawały.

Raz kiedy dziewczynka po okropnej gorączce zasnęła spokojnie na chwilę, a Gilbert siedząc przy niej, tarł sobie ręką pomarszczone czoło, i kiedy-niekiedy przykładał do głowy palec, jakby sobie coś przypominał, niespokojna matka zbliżyła się doń zcicha, i rzekła półgłosem:

— Wyjdz też przed dom na chwilę, bo oto wiejskie dzieci krzykami swemi Elżbietkę przebudzą.

Gilbert powstał szybko, i ostrożnie drzwi za sobą zamknawszy stanął przed sienią, na środku wiejskiej ulicy, i spojrzawszy groźnie na gromadę chłopaków ze śmiechem i hałasem biegnącą, wznosił w górę nieodstępną swą laskę, i zawołał:

— Cicho!

Podwoiła się wesołość dzieci, bo właśnie w tój chwili, papierowy latawiec, którego pierwszy z grona na długim ciągnął sznurku, wzniesiony jesiennym wiatrem rozłożył długi ogon, i poważnie wznosił się w powietrze. — Rozdrażniony Gilbert poznał przyczynę zgiełku, co lubo jego dziecię z posilnego snu mógł wyrwać, postąpił parę kroków, i uderzywszy laską w nateżony sznurek przeciął go od razu. — Latawiec oswobodzony wzbil się w obłoki, ale zgiełk i krzyki nie ustały.

Rozgniewane dzieci otoczyły ciasnym kołem Gilberta, a lubo poglądając na kij, który on zwyciężko na ramię zarzucił, ręk ku niemu podnieść nie śmiały, z drobnych ust popłynęły potoki ostrych wyrazów, a między nimi, ubóstwo, obłąkanie Gilberta, uwięzienie Maryi; wszystko słowem, co tylko małym wieśniakom zdawało się

być poniżającym wyrzutem, uderzało ucho biednego ojca, który oparty o ścianę chaty, z początku z gniewem, potem z wyrazem podziwienia, a nakoniec w zupełnym milezeniu, i z zamkniętymi oczyma czekał, dopóki ta drobna lecz dotkliwa nie przejdzie burza. — Ale i burza przeszła i dzieci znudzone własnymi krzykami rozbiegły się po wsi, a Gilbert nie otworzył oczu; opuścił się tylko na ławkę stojącą przy drzwiach chaty, jedną ręką podparł głowę, drugą chował za suknię, i nieruchomy siedział jak posąg, nie dbając na chłód wieczorny, nie słysząc próśb i nalegań żony, namawiającej go, by do izby powrócił.

Księżyc w pełni wznosił się już na niebie, cisza głęboka w całej wsi panowała, kiedy obłąkany opuścił nakoniec ręce, otworzył oczy, i spojrzawszy dokoła jak gdyby sobie coś przypominał, rzekł cicho:

— Aa!

I po chwili milezenia rzekł jeszcze:

— Aa tak! — Tak mówili!

Nagle, ale bez trzasku otworzył drzwi domku, i stanawszy przed żoną przedącą przy kominku, zapytał:

— Gdzie Marya?

Zdziwiona nagłym zapytaniem biedna matka spojrziała na męża i przy bladym świetle dogorywającego torfu dostrzegłszy dziwną zmianę na jego twarzy, nie wiedziała co mówić.

— Gdzie Marya? kobieto! — powtórzył Gilbert, a rysy jego przybrały wyraz surowej powagi, którą dawniejszemi czasy umiał sobie powszechny jednać szacunek.

— Marya.... rzekła nieśmiało żona: — wszak wiesz.... że jest.... u lady Wilton....

— Bajka!... nie łudź mię!... oni mówili, że Marya w więzieniu. — Mówili... że Marya, moja córka... ukradła....

Zakrył twarz rękami i zamilkł pogrążony w wstydzie i boleści; — potem chwytając rękę żony rzekł przytłumionym głosem:

— Mów! czy to prawda?

Matka Maryi nie mogąc sobie zdać sprawy z ową zmianą, jaka w jednej chwili zaszła w mowie i postępowaniu męża, opowiadała mu co zaszło w Wilton-hallu, swoją bytność w Edynburgu, rozmowę z Maryą, przekonanie o jej niewinności, i niepewność jaki będzie wyrok sądu.

Gilbert słuchał uważnie, a gdy skończyła siadł przy niej i spytał łagodnie:

— Teraz powiedz mi, co się działo ze mną dziś rano, wczoraj, przedwczoraj, i dawniej; bo próżno myślę, pamiętam tylko Betty, że ją nosiłem na rękę, prowadziłem przez pola i lasy, że ją widziałem chorą, i nic więcej.

Biedna kobieta, pod wpływem władzy jaką mąż niegdyś miał nad nią przewagą swego rozsądku, lekko, nieśmiało poczęła wspominać nie-szczęsne spadnięcie z rusztowania, i skutki jakie pociągnęło za sobą: — przerwał jej Gilbert mowę uderzając się w czoło.

— Ach! — zawołał: — już wiem: — byłem obłąkanym!

Kobieta potrząsnęła głową.

— Ale teraz, widzisz — teraz wszystko to minęło, tu — rzekł wskazując na głowę, — i tu — dodał przykładając z boleścią rękę do serca, — czuję, że mi rozum powrócił.

— W jego głosie, w wyrazie twarzy, tyle było prawdy, tyle uczucia, że zdziwiona niewiasta mimowolnie uwierzyła słowom męża i ściskając mu rękę zawołała:

— Dzięki Bogu! teraz już i o Maryę spokojniejszą jestem. — Teraz słowo twoje ważnym będzie przed ludźmi, pójdiesz do jój obrońcy. — I Betty jakoś śpi dłużej niż zwykle, może jój się polepszy, może od niej dowiemy się czego.

— Od Elżbietki?

— Nieinaczéj, ona tylko i Marya była w miejscu zkad zginął klejnot, dziecię niewinnie mogło gdzie zarzucić lub unieść nieznané świecidelko, a gdyby i nie to, mówił mi adwokat Maryi, że mu koniecznie trzeba widzieć się z dziewczęciem.

— W sądzie? — zawołał Gilbert! — Betty w sądzie! ależ ona niewinna!

— Zapewne, ale dla obrony siostry!

Gilbert założył ręce na piersiach i równym krokiem począł chodzić po ciasnej izdebce, na koniec siadł przy śpiącej ciągle dziewczynce, i wlepwszy oczy w jój twarz zeszpeconą, niezrozumiałe począł wymawiać wyrazy.

Nazajutrz i dni następnych, nie opuszczał Elżbietki, na prośby i pytania żony odpowiadał tylko:

— Ona niewinna! — bo za kradzież — wię-

zienie! — za kradzież — wygnanie! — bo za kradzież — śmierć!

Obłąkanie jego zmieniło się tylko, po chwilowém błysnieniu rozumu nowa go ogarnęła chmura, nowa w umyśle jego powstała obawa, obawa o Betty, którą jak mu się zdawało, sędziowie porwać, uwięzić, zabić umyślili. — Nie odstępował jój ani na chwilę, by w nieobecności jego nie zabrano lubego dziecięcia, a kiedy pewnego ranka matka do drugiej wsi poniosła ukończone przędziwo, wróciwszy wieczorem do domu, nie zastała ani męża, ani zdrowszój już cokolwiek Elżbietki, tylko na dębowym stole pod oknem stojącym ujrzała na znak pożegnania, jasny promień włosów dziecięcia, i pół srebrnej obrączki, którą mąż jój od dnia zaślubin bez przerwy na palcu nosił.

VII.

ROZMOWA.

Sprawa Maryi zaniebana przez czas niejaki, skoro raz wprowadzoną została do sądu, szybkim postępowała krokiem. Lord i lady Wilton szczerze zajęci losem biednej dziewczyny, starali się przez przyjaciół i znajomych swoich pozyskać dla niej względy i współczucie sędziów; w wyższym zatem towarzystwie Edynburga Marya i jej przyszłość stała się głównym celem rozmów i oczekiwania, uwielbiano jej prawość, łagodność, tkliwe przywiązanie do rodziny, i z pewnością prawie oczekiwano jej uniewinnienia.

Z drugiej strony, Gilpin z Snowdonu, ów dziki i nieugięty naczelnik cyganów, wiedząc dobrze ile zasłużonych zarzutów ciążyło na jego poko-

leniu, uchwycił skwapliwie tę rzadką, jedyną może przez długie lata sposobność obmycia go z niesłusznego podejrzenia; lud prosty był za nim, bo chytry starzec umiał sobie zjednać przychylność ludzi biednych, w przesądach i ciemnocie swojej — bogatszych i oświeceńszych od siebie za ciemiężców uważających.

— Patrzcie! — mawiał nieraz Gilpin, kiedy się koło niego zebrało pospólstwa grono, — patrzcie! kareta lady Wilton znów przysięgłych odwiedza! — Dlatego, że ta dziewczyna zyskała pańską łaskę, chcą ją wydrzeć sprawiedliwości; — a kiedy kto z nas biednych zawini, nie ma zwłoki, nie ma opiekuna.

— Prawda! — odpowiadali słuchacze, którzy już na sobie lub na swoich w jaki-bądź sposób doświadczyli sprawiedliwości sądowej.

— I gotowi ją uniewinnić! — dodawał Gilpin.

A cały tłum oburzony na samą wzmiankę jakiejś względności dla istoty, co z łaski możniejszych wystąpiła z jego koła, szemrał głośno, lub też spostrzegłszy którego z przysięgłych, zastępował mu drogę wołając:

— Sprawiedliwości!

Tak stały rzeczy w mieście, kiedy pewnego wieczora, w domu, na odludnej ulicy stojącym, w ciepłym pokoju, przy stole herbatą zastawionym, dwaj ludzie niemłodzi siedzieli naprzeciw siebie i rozmawiali z zajęciem.

Jeden z nich, Alderman Smith, gospodarz domu, był z dawnych lat przyjacielem od serca prezydenta sądu przysięgłych, drugi gość chwilowy, obrońca Maryi.

— Panie Smith! — mówił on do Aldermana, — nie przypuszczam aby przed należytym wysłuchaniem sprawy, sędziowie nasi układali wyrok; ale znasz tyle osób, i sprawa tej dziewczyny tak jest głośną w mieście, że nie podając nikogo w podejrzenie, mógłbyś mi udzielić spostrzeżeń, nieskończenie dla nas ważnych.

— Więc cię tyle obchodzi to dziewczę?

— Od tylu lat już bronię obwinionych, stawałem w sprawach matek, ojców licznej rodziny, bogaczy i nędzarzy, rodzin i sierot; nigdy jednak tak niespokojnie nie oczekiwałem wyroku, nigdy go się tyle nie lękałem. — Bo też nigdy jeszcze nie widziałem takiej niewinności serca, takiej pokory i poddania się przeznaczeniu!

— Nie tak jednakże mówi o niej pospólstwo.

— Ten burzliwy cygan niemi wiechry!

— Być może! ale przysięgli trzymać się będą ściśle przepisów prawa.

— Tém-lepiej! więc ją uniewinnia, bo nie ma dowodów.

— Ale są podejrzenia.

— Zbijemy je; — mocniejsze mam przekonanie, że Maryja nie wzięła klejnotu; — szukano wreszeie w całym zamku, ukryćby go nie mogła.

— Mogła wydać komu.

— Nie wychodziła z zamku.

— Była u kraty i rozmawiała z ojcem i siostrą.

— Siostra jój dziecię małe, i teraz chora niebezpiecznie, ale spodziewam się, że wkrótce będzie mogła poświadczyć niewinność Maryi.

— Wątpię! — jej siostra i ojciec obłąkany zniknęli z domu, i mimo wszelkich starań lorda Wilton wynaleźć ich nie można; mówią nawet że ich widziiano wsiadających na holenderski okręt w...

Adwokat zmarszczył brwi siwe, i długo przenikliwym wzrokiem patrząc w Aldermana, rzekł nakoniec:

— Hm! tém-lepij, powiadam, to prawie do-
wód, że które z nich kradzież popelnić musiało.

— I to być może! — odparł Smith, — ale w ta-
kim razie Maryja jest ich współnicą, bo słyszano jak
tegoż samego ranka przyrzekała ojcę brylanty.

— Któż to słyszał?... wykrzyknął zrywając
się z miejsca adwokat; — może cyganka jaka?

— Nicinaczéj, cyganka, która wyprawiona na
zwiady przez swoją gromadę, ukryła się była
w krzewinie, lokaj stojący za karetą lorda Wilton,
gdy tenże wjeżdżał w bramę, i odźwierny który
ją otwierał.

— Ach co za nieszczęście! — zawołał obrońca
Maryi, i założywszy ręce na piersiach zaczął w mil-
czeniu chodzić po pokoju. — Po długiéj prze-
chadzce, bład, zmieniony, stanął przed Alder-
manem, i drżącym prawie głosem zapytał:

— I... jakże myślisz, panie Smith? jeżeli to
prawda, co powiedzą przysięgli?...

— Jeżeli to prawda? — odrzekł Smith zaży-
wając tabakę, ha! będą ją musieli potępić!

— Ależ to niepodobna, wiesz że w naszym
kraju za kradzież zbyt surowa jest kara!

— Wiem — śmieré — jednak tak się mimo
tę karę zageściły kradzieże.

— Ależ ona tak młoda! niepełnoletnia jeszcze.

— To téż w to ufne dzieci od najmłodszych
lat dopuszczają się występków, trzeba będzie i dla
nich przykładu.

— Nie! Maryja nie umrze! — wykrzyknął ad-
wokat; — choéby — dodał z boleścią, — choéby
winna była. — Od śmierci ją obronię — a je-
dnak — wierzyłem że ona niewinna!

— Tak to, tak przyjacielu? — rzekł Smith prze-
cierając zielone okulary — na niewinności oskarżo-
nych łatwo się obrońcy zawieść można! Tylkoż
nie troszcz się bardzo, — mówił dalej, widząc nie-
spokojność słuchającego. — To tylko moje do-
mysły; ja o całej téj sprawie nie od nikogo nie
słyszałem.

Adwokat potrząsnął głową, i pożegnawszy go-
spodarza wybiegł z pokoju.

Wiedział bowiem, że przez usta jego przecho-
dziło zdanie przysięgłych i ich prezydenta.

ZNÓW DZIENNIK MARYI.

Już teraz pisać mogę, już minęły dla mnie chwile nadziei, obawy, niespokojności i rozpacz, smutek mój wyrobił się o tyle, że przepełniwszy serce, w łzach i słowach się wylewa; łzy padają na kamienną mojej celki podłogę, ale wyrazy niech zostaną na papierze, może się kiedy komu z moich dostaną; może lady Wilton... ona co tak dla mnie dobra, tyle z mojej cierpi przyczyny. — Mówiono mi, że jest słaba, ach! może i ona uwierzyła żem ja występna, kiedy mi w końcu sprawy już i mój obrońca nie ufał!

W dniu w którym ostatecznie przed sądem stanąć miałam, prosiłam o spowiednika, był to dla mnie dzień stanowiący o życiu i śmierci;

chciałam się przygotować na wszystko co wypaść miało; chciałam się zawczasu oderwać od świata, z którego wyrok przysięgłych mógł mię zabrać za chwilę. — Przejęta skrucą, pokorą, w miłości Boga przyjęciem ś. komunii wzmocniona, stanęłam bez trwogi przed sędziami, gotowa ponieść śmierć, któraby teraz tylko końcem cierpień moich się stała; przewidując długie uwięzienie; na które może skazaną byłam, ale zawsze pewna niewinności swojej, spodziewając się mimowolnie zupełnego uwolnienia.

Jednakże straszne przeciw mnie powstały zarzuty! — próżno szlachetny mój obrońca zniknie nie siostry i ojca mego wymawiał jego obłąkaniem; próżno dowodził, że jeżeli mówiłam z ojcem o klejnotach to dlatego tylko, by mu się nie przeciwiać, że wówczas nie wiedziałam jeszcze czy lady Wilton kupi i powierzy mi owe brylantowe pióro. Każdą myśl na dwie strony wyłożyć można, a że w tym czasie zagaściły się bardzo domowe kradzieże, że Gilpin z Snowdonu mściwie wspomniął niewinne swoje uwięzienie w tej sprawie; że nakoniec lud podburzony przez niego napełniając salę sądową i ulicę przed

jój oknami, wołał groźnie o ścisłą sprawiedliwość; sędziowie zamknęli serca swoje przystępowi litości, i po długich naradach uznali mię winną!

Za wymówieniem tego wyrazu uniosłam się myślą nad ziemię, na której wszystko tak błędne, tak znikome; gdzie nawet sprawiedliwość, mająca być odbiciem sądów boskich, z zamkniętymi działa oczyma, i rada byłam, że ją opuszczę niezadługo, bo po surowości sędziów spodziewałam się śmierci.

Niezwykły szmer w sali, gdzie tłumy ludu w milczeniu ostatniego wyrzeczenia przysięgłych oczekiwały wywiódł mię z zamyślenia. — Przy kratce, ze łzami w oczach, z boleścią na bladych twarzach wrytą, stali woźnica i służący lorda Wilton, którzy wjeżdżając z nim w chwili gdy m z ojcem rozmawiając stała u kraty, słyszeli potępiające mię wyrazy, i wezwani przez podsłuchującą cyganke, musieli je zeznać przed sądem, gdy im pod przysięgą prawdę mówić nakazano.

W dniu mego sądu przyszli do sali spodziewając się uniewinnienia, lecz kiedy usłyszeli potępienie moje, kiedy sędziowie w przyległym zamknięci pokoju mogli za chwilę wymazać imię moje z liczby żyjących, dobrzy ci ludzie litością

przejęci porozumieli się w mgnieniu oka, i oskarżając siebie postanowili choć na czas jakiś oddalić mój wyrok.

— Panie adwokacie! — zawołał woźnica, — chcemy jeszcze jedno złożyć zeznanie!

Obrońca mój w ponurém milczeniu o filar oparty przybliżył się do niego.

— Zeznaliśmy fałszywie! — rzekł dalej woźnica.

— Myśmy nie słyszeli, co mówiła Marya do swojego ojca! — dodał służący.

Rozpogodziła się twarz adwokata, głuchy szmer przebiegł po sali, gdzieniegdzie na znak radości poczęto klaskać w dłonie; — ucieszyły mię na chwilę te dowody współczucia, lecz wnet ścisnęło mi się serce na myśl, że poczciwi owi dwaj ludzie na tak wielkie niebezpieczeństwo narażają się w mylnój nadziei ocalenia mię tym sposobem. — Każdy z nich jest mężem, ojcem, smutek i cierpienie kilkunastu osób okupiłoby krótką zwłokę ostatecznego na mnie wyroku. — Podniosłam się więc szybko z ławki oskarżonych, i ze łzami podziękowawszy im za okazanie mi życzliwości, zakląłam ich w imieniu nieobeonych

rodzin, w imieniu Boga prawdy, aby nie brali na siebie zarzutu fałszywie wykonanej przysięgi.

Zamilkli, smutnie odeszli od kratak, a w tymże czasie otworzyły się drzwi radnej sali, i przysięgli weszli z nakrytymi głowami.

— Dzięki Bogu, — pomyślałam widząc tę oznakę surowego wyroku, — niedługo cierpieć przestanę!

Poczęto czytać wyrzeczenie przysięgłych.

Niestety! opierając się na podejrzeniach, które jednakże niezupełnie sprawdzonymi zostały, wążąc z jednej strony liczne występki osób, które rozmaitemi wpływami spodziewają się uniknąć surowego sądu, z drugiej młodość moją, skazali mię... na wywiezienie do nowej południowej Walii.

Nie zrozumiałam tego wyroku, lecz kiedy na żądanie moje, wytłómaczono mi, że chcąc uniknąć przepełnienia więzień, rząd założył karne osady po drugiej stronie oceanu, i że przestępców ciężkiej kary godnych tam od niejakiego czasu wysyłają, zaćmiło mi się w oczach i nie wiem jakim sposobem przeniesiono mię napowrót do więzienia.

Gdym przyszła do siebie, jedna tylko myśl

krażyła mi po głowie, jedno uczucie ścisnęło serce; — wygnanka!... — ja jestem wygnanką!... wyrzekają się mnie ziomkowie, odpycha mię moja ziemia.

Przez resztę tego straszego dnia byłam w rozpacz, w obłąkaniu prawie. — Noc dopiero uspokoiła cokolwiek cierpienie moje, i myśli w inną zwróciła stronę.

IX.

ODJAZD.

Jednakim krokiem postępuje odwieczny czas, nie wstrzyma go łza ani westchnienie, nie pogoni śmiech lub wesołość; — Maryja skazana na opuszczenie rodzinnéj ziemi, pogrążona w rozpacz załamywała ręce, zalewała się łzami, wzywała śmierci, któraby odrazu koniec jéj boleści położyć mogła; potem modlitwą wznosząc się ku niebu, wracała z wolna do ufności w Boga, godziła się pokornie z przeznaczeniem swoim, a czas płynął pomału, i już od wydania na Maryję wyroku kilka upłynęło miesięcy, nim nadzedł straszliwy dzień odjazdu do Australii.

Zaledwie pierwszy brzask jutrzeńki zrumieniły wały morskie, mrukliwie stopy portu oblewające,

ruch i zgiełk niezwyčajny napełnił ulice miasta; bo po pierwszy raz, mury i mieszkańcy jego mieli być świadkami zabrania na przygotowany okręt kilkudziesięciu złoczyńców. — Kara wygnania, nowa jeszcze naówczas w Anglii, wymierzona względem tyłu razem osób, przerażała umysły. — Więzienie usuwając skazanego z przed oczu społeczeństwa, przytłumia współczucie, i zaciera go w pamięci ludzkiej. — Kara śmierci zgrozą przejmując patrzących kończy się przed ich oczyma, i już tylko wieczne skaranego życie porucza sprawiedliwości i miłosierdziu Boga; wygnańcy zaś, w całej sile zdrowia i życia, wolni od więzów i cierpień fizycznych inne zupełnie wznecają zajęcia. — Swawola i występki swemi obrazili społeczeństwo, ukrzywdzili lub zgorszenie dali ziomkom, niesława kraj swój okryli; — społeczeństwo zatem wyłącza ich z swego koła; ziomkowie oddalają winnych współbraci; ojczyzna wysyła marnotrawnych synów w nowy świat, opatruje ich na drogę, poleca dozorowi prawa, i smutna z rozstania z dziećmi, pociesza się nadzieją, że pod innym pasem nieba, na ziemi nieznanéj, otrząsną się z występków, i powstaną do cnoty. — Każdy

z nich po wymierzonej karze żyć jeszcze będzie długo, doznawać najrozmaitszych przygód, widzieć przedmioty nieznanne dotąd, walczyć ze zwierzętami i żywiołami, i właśnie ta sama niepewność ich przyszłości, to podobieństwo i wątpliwość poprawy, owe straszne a przecież urocze obrazy mało znanego kraju, który się drugą ich ojczyzną stanie, nie tylko litością, lecz mimowolnym poszanowaniem przejmują dla ludzi, na tyle nowych uczuć, trudów i wrażeń skazanych.

Od świtu już drobne statki jeden za drugim wybiegając z portu płyną ku okrętowi w pobliżu na kotwicy stojącemu, i ładują nań żywność, narzędzia potrzebne do budowania domów i uprawiania ziemi, ziarno do jej zasiania, odzienie, zwierzęta domowe: słowem, wszystko co tylko nowej osadzie ułatwić, a nawet uprzyjemnić życie zdoła; od świtu też mieszczanie wysypali się z domów, i osiadłszy nadmorskie wzgórza, poglądają na ten ruch nieustanny, udzielając sobie gwarnie spostrzeżeń i domysłów.

W głównym więzieniu również niezwykły ruch panuje; skazani żegnają się z rodzinami, przyjaciółmi i znajomymi; — dla uniknięcia niepo-

rzadku, każdego wyprowadzając z osobnej celki żołnierz wpuszcza do sali, gdzie już od dawna oczekuje go żona, dzieci lub rodzice; pięć minut wyznaczono każdemu na pożegnanie wszystkiego co na tym starym zostawia świecie; — pięć minut — tak krótko! a przecież byli tacy, którzy i tej chwili nie chcieli lub nie mieli z kim przepędzić. — Ostatnią wyszła Maryja; — kilka miesięcy cierpienia i samotności zmieniły jej duszę równie jak zewnętrzną postać. Nie była to już wesoła dziewczynka, na której ustach figlarny uśmiech osiadał; twarz jej blada, smętna, a przecież pogodna ujmującą się stała; pokorna, prawdziwie chrześcijańska odwaga na rysach jej wypiętnowana, mimowolny wzbudzała szacunek. — Rzuciła się w objęcia matki płaczącej w rogu sali, przez długi czas, głośne tylko łkania odbijały się o wilgotne mury, bo w tym ostatnim macierzyńskim uścisku rozplynęła się we łzy stałość dziewicy, upadło na chwilę mężne jej serce, lecz wkrótce ocierając oczy przyklękła, i całując rękę matki rzekła:

— Matko ukochana! pobłogosław mię raz jeszcze, jak przed chwilą błogosławił mię Bóg ręką

kapłana, przed którym wyznałam wszystkie winy moje, pragnąc z czystym sercem i sumieniem opuścić naszą ziemię — tę ziemię na której ty teraz sama zostaniesz! — Ale nie! mój biedny ojciec, Betty, wróca zapewne, o! powiedz im matko droga! że ja nie wierzę temu, co wkoło mnie szeptali złośliwi ludzie, ja wiem, że oni równie jak ja są niewinni, błogosławię ich imiona, i gdziekolwiek Bóg mi żyć pozwoli modlić się za nich nie przestanę.

Strapiona matka złożyła ręce na głowie Maryi, lecz zbyt żal zatamował jej mowę; w niemoj boleści poglądając na nieszczęśliwą córkę, zatopiła się duszą w jej rysach, zapominając, że czas tak skapo na pożegnanie odmierzony mijał bez powrotu; żołnierz stojący na straży przypomniał jej, że nadeszła chwila ostatecznego rozłączenia, a ona jeszcze nie powiedziała, nie dała swojej Maryi, chociaż płócienne zawiniątko u nóg jej leżące świadczyło, że ją na drogę zaopatrzyć chciała.

— Weź to, rzekła nakoniec; — na tym strasznym końcu świata wszystko ci się przydać może — i to jeszcze; dodała zakładając dziewczycy



ŻOŁNIERZ PRZYPOMNIAŁ JEJ, ŻE NADESZA CHWILA OSTATECZNEGO ROZŁĄCZENIA.

skaplerz na szyję, — i ten pas szeroki skórzany, to lady Wilton oddać ci kazała, kiedy ją lord do Niemiec uwoził, i ta książka nabożna także od niej...

Wszyscy gotowi do odjazdu! zawołał otwierając drzwi dozorca więzienia, żołnierz zbliżył się do Maryi, matka jej zemdlona wsparła się o ścianę, a dziewica ostatnie pocałowaniełożywszy na jej bladym czole, wolnym krokiem wyszła sa surowym przewodnikiem.

Południe wybił ratuszowy zegar, a po dwunastem jego uderzeniu odgłos bębna rozległ się po mieście, wojsko uszykowane w dwa szeregi utworzyło szpaler od drzwi więzienia aż do przystani portowej, i w pośród tych ścian żywych, za kapelanem więzienia niosącym krzyż w ręku, stł blisko wygnańców, między którymi było kilkanaście kobiet, w ponurem milczeniu przeszło do szalup czekających na nich u brzegu. Niedługo statki przybiły do okrętu, wciągniono kotwice, rozwinięto resztę żagli, i wspaniały statek zawróciwszy się dumnie rozparł morskie fale bokami, i szybko posuwać się począł ku dalekiemu celowi podróży. W mieście zajęły dzwony wzywające

na modlitwę za szczęśliwe powodzenie żeglarzy, w porcie zagrzmiały działa żegnające okręt, a po wybrzeżu wiatr powiewał białemi chustkami, któremi widzowie żegnali smutną wyprawę; — chwilka jeszcze, a ostatnie zarysy statku znikły na widnokręgu. Umilkło miasto, wrócili do zwykłych zatrudnień mieszczanie, i tylko w niewielu strapiionych sercach została pamięć wygnańców.

X.

PRZEPRAWA.

Wstrzymany przeciwnych wiatrów siłą, przez całe trzy miesiące kołysał się po falach statek wiozący wygnańców; ciężki to był czas dla nich, i nie wszyscy przetrwali trudy przykrój przeprawy.

Okręt na którym płynęli, należał do większych naówczas, trójpokładowych statków. Pokłady te, dzieląc go na trzy części, stanowiły niby trzy piętra, z których każde inne miało przeznaczenie. — Na samem dnie, zabezpieczone od wilgoci i upału spoczywały przedmioty mające służyć nowój osadzie; żywność, odzież, broń, proch, beczki z słodką wodą; całe to piętro na kilka podzielone części, było pod zarządem starego majtka, któremu codzień kilku okrętowych ludzi

do pomocy dodawano. — Pod wierzchnim pokładem na drobniejsze podzielonym przegrody były mieszkania kapitana, oficerów, lekarza i starszych okrętowej osady; izdebki to maleńkie, w których prócz krzesła i stolika do podłogi przybitego, prócz kufra lub skrzynki z rzeczami, prócz wiszącego łóżka innych wygod nie było; lecz w każdej szczelnie zamknięte okienko, które w czasie pogody otworzyć było można i na gładką powierzchnię wody oglądać nie wystawiając się na palące promienie słońca, lecz spokojność, zupełna samotność i swoboda jakiej każdy za zamkniętymi drzwiami swojej kajuty doznawał, milszemi je czynił żeglarzom, niż nam na przestronnej ziemi wydałyby się najwspanialsze salony. Na górnym piętrze była także izba jadalna, infirmaryja czyli szpital, i dla kobiet wygnanek, ciasny i ciemny kącik, mocną zagrodzony ścianą, straży żołnierza, zmieniającego się co dwie godziny oddany.

Pomiędzy dwoma pokładami dopiero, gdzie już nie dochodziło światło dzienne, były koszary. — Na jednym końcu statku mieszkanie majtków, na drugim żołnierzy; w samym środku okrętowej

przestrzeni zbudowano rodzaj przestronnej izby, dokoła przybito szerokie ławy, u belek od powały zawieszono płócienne łóżka, i tam to zamknięci z dwóch stron na żelazne rygle wygnańcy mieli przebyć cały czas żeglugi. Z obawy by przez swawolę, złość lub nieostrożność nie zapuścili ognia, nie dawano więźniom światła, tylko w dębowych ścianach jedno blisko drugiego powycinane i żelazną założone kratą okienka, przepuszczały wewnątrz błady odbłysek latarni zawieszonych tu i ówdzie na ścianach okrętu; co dziesięć kroków stał żołnierz na straży, pilnując by w przestrzeni jego dozorowi powierzonej nie zaszła kłótnia, bitwa, lub co najwięcej żeby uwięzieni nie starali się uwolnić z zamknięcia; ścienne okienka ułatwiały mu baczność, bo w każdej chwili mógł zaglądać wewnątrz, dla przekonania co się za ścianami dzieje.

Fórtka wyrobiona w drzwiach i silnemi opatrzona ryglami otwierała się dwa razy dniem; wtedy więźniowie wołani po imieniu, zbliżali się do niej pojedynczo, i z rąk dozorey odbierali przeznaczoną żywność i napój; trzy razy dniem otwierały się także drzwi całkowicie, i wezwanych

z kolei, po ośmiu wygnańców pod strażą przechodziło na zwierzchni pokład okrętu, gdzie przez kilka godzin pod okiem żołnierzy zajmowali się myciem pomostu, czyszczeniem dział, naprawianiem żagli, obrabianiem drzewa, i rozmaitemi pracami, przy których używając sił swoich, oddychając świeżem morskim powietrzem, łatwiej przez dni parę w koszarach pozostać mogli nie cierpiąc na zdrowiu, wprawili się w zatrudnienia mające im się przydać w nowój siedzibie, i wyręczali majtków i żołnierzy, których ciągle straż nad nimi utrudzała niemało.

Odznaczający się pilnością, zręcznością, posłuszeństwem, otrzymywali w nagrodę większą miarę żywności, czasem szklankę groku czyli wody z rumem, czasem miarkę wódki, niekiedy dobrą wzmiankę w okrętowym dzienniku; — leniwych zaś, krnąbrnych, nieobyczajnych, za karę rzadziej od innych, i to tylko na czas krótki wypuszczano na pokład, jedynie dla odetchnienia czystszej powietrzem, każde ich przestępstwo zapisywano pilnie, a lubo oni sobie taką karę lekceważyli, ważny ona wpływ na ich przyszłość wyrzeć miała.

Kobiety również w miarę sił i chęci pracowały w pralni, kuchni, lub doglądały szpitalu, w którym ciągle kilku lub kilkunastu było chorych. — Wszystkie one przenosiły najcięższą pracę, nad okropne ściany ciasnego więzienia, tylko Maryja, biedna niewinna Maryja sprobowała raz jeden wyjść z innymi na pokład, nie chciała więcej opuszczać więzienia: bo grube żarty, śmiałe i szydercze spojrzenia majtków i żołnierzy zwracające się ku niej, wywołały u niej blade lica dziewczycy rumieniec zawstydenia, i tak boleśnie ścisnęły serce jęj do tkliwego obejscia przywykle, że wołała rzec się widoków słońca, powietrza czystego, niż raz jeszcze narazić się na litość lub dówcip na wpół dzikich żeglarzy.

W zagrodzie dla kobiet przeznaczonój w najciemniejszym kątku Maryja obrała sobie schronienie, w myślach i modlitwie zatopiona najczęściej dni całe przepędzała w milczeniu, nie śmiejąc prawie patrzeć na swoje towarzyski, a tém mniej mieszać się do ich rozmowy. Z początku kobiety te biorąc jęj odosobnienie za pogardę dla siebie, mściły się za mniemaną zniewagę wyrzutami i dotkliwymi docinkami, lecz widząc jak pokornie

i łagodnie znosiła krzywdę swoją, zaczęły się wzruszać anielską jej słodyczą. Młodość Maryi, jej cierpienie, nieśmiałość, powoli zmięczyły te zdziczałe serca, litość zajęła miejsce oburzenia, i wygnanki które w pierwszych dniach przeprawy zatruwały jej życie tysiącami przykrościami, po kilku tygodniach wspólnego pobytu, pokochały ją mimowolnie, same nie wiedząc o tém przybrały ją za swe dziecię, i nad tą słabą wątłą istotą roztoczyły baczność i silną opiekę. — Co dzień, co chwila prawie dawały jej dowody przywiązania. — Jeżeli która za gorliwość w pracy otrzymała smaczniejszy jaki kasek lub chleba świeżego kawałek, niosła go Maryi, kieliszek wina ze stołu przydał się dla sieroty zwątlonej grubym pokarmem i brakiem powietrza; szklanka groku, tak pożądana dla prostych i zdrowych kobiet nie dostała się nigdy w ich ręce, by połowę jej przynajmniej nie poświęciły na zwilżenie długich włosów Maryi. Piorąc odświeżały tajemnie jej bieliznę, wietrzyły suknie, czyściły z pyłu obuwie, i to najwięcej wtedy, gdy ona spała, by jej miłe sprawić zdziwienie, i uniknąć podziękowania. — Tak, więc nawet w duszach przytępionych występkiem

cicha enota, cierpliwość, pokora w niezasłużonem nieszczęściu potrafi wzniecić szacunek i współczucie.

Pomimo starań towarzyszek swoich Maryja nikła widocznie, moralne cierpienia podkopały jej zdrowie, i w połowie drugiego miesiąca po opuszczeniu Szkocyi, przeniesiono ją do szpitala.

Wiek i rysy wygnanki ujęły dla niej serce lekarza, który sam będąc ojcem licznej rodziny, nie mógł bez wzruszenia patrzeć na to biedne dziecię, tak surowo rzucone na fale morza, na burzliwsze jeszcze fale życia wygnańców. — Z ojcowską troskliwością pielegnował gorączkującą Maryję, i po kilkunastu dniach udało mu się przywrócić jej zdrowie, a z wyrazów, które w bezprzytomności umysłu wymawiała, domyśliwszy się jej niewinności, uzyskał dla niej od kapitana okrętu pozwolenie, pozostania w szpitalu dla kobiet przeznaczonym, pod pozorem, że jej zdrowie nie zniosłoby powrotu do więzienia.

Tak więc chwilowe cierpienie, polepszyło znacznie los Maryi: w widnym i dość obszernym miejscu przebywając, lżejsze i staranniej przyrządzone pożywając pokarmy, a nadewszystko cie-

sząc się prawie zupełną samotnością, w krótkim czasie odzyskała czerstwość i siłę, i mogła przybywającym do szpitala towarzyszkom swoim, troskliwością i czułym dozorem odpłacić się za doznaną od nich życzliwość.

Pewnego dnia przyniesiono Sarę, jedną z najmłodszych po Maryi wygnanek, która zehodząc z drabiny z brzemieniem drzewa, spadła, i pokaleczyła się mocno. — Po opatrzeniu ran jej przez lekarza, chora usnęła, a Maryja wierna przyjętemu dobrowolnie obowiązкови, siadła przy niej czekając, czy przebudziwszy się nie zażąda czego, lub czy podług obawy lekarza, nie nastąpi gorączka. Po kilku godzinach ocknęła się chora, spojrziała dokoła jakby zbierając myśli, wyciągnęła rękę, lecz dopiero uczucie bólu przy nagłym poruszeniu, wróciło jej pamięć zupełną.

— Więc ja jeszcze żyję?... rzekła ponuro: i jestem w szpitalu....

Maryja zbliżyła się do płóciennego łoża, i pogładając życzliwie na Sarę, rzekła:

— Bądź spokojną Saro, lekarz zapewnia, że niedługo wyzdrowiejesz.

— Zkąd on to wiedzieć może? — spytała chora opryskliwie.

Maryja obeznana z gwałtownością jej charakteru podała w mileczeniu chłodzący napój.

— Precz z tem! — krzyknęła Sara.

— Przyjmij Saro! to cię uspokoi.

Sara spojrziała zimno na stojącą przed nią dziewczicę, i pomału, szyderezo wyrzekła:

— Widzisz, że spokojną jestem; gorączki nie mam, więc mi daj pokój z waszemi lekarstwami, bo ja i tak nie już jeść ani pić nie będę.

— Cóż to ma znaczyć?

— Czy wiesz, że w szpitalu nie wolno chorym snu przerywać? spać mi się chce, odejdz!

I to mówiąc zamknęła oczy, i odwróciła głowę do ściany. — Maryja smutna i zdziwiona takim dziwactwem usunęła się na stronę, lecz siadłszy na podłodze patrzyła ciągle na łóżko Sary, widziała jej poruszenia, a przecież ile razy zbliżyła się do chorój, zastawała ją z zamkniętymi oczyma udającą uspienie. — Tak zeszyła noc cała, naza jutrz rano lekarz odwiedzając szpital, polecił wyraźnie dowanie Sarze chłodzącego lekarstwa, grożąc niebezpieczeństwem, jeżeliby trwała w uporze,

lecz ona potrzęsła głową, i nieubłagana ciągłemi prośbami Maryi, nietylko nie przyjąć, ale słowa nawet przemówić do niej nie chciała. Tak zesła większa dnia połowa, już słońce chyląc się ku zachodowi długimi promieńmi złoćilo szpitalne ściany, kiedy Maryja po krótkiej modlitwie powstała z wyrazem mocnego postanowienia, i raz jeszcze zbliżyła się do Sary, której czarne włosy rozrzucone w nieładzie na grubej płóciennój poduszce, twarz blada czerwoniemi z gorączki pochodzącymi plamami oznaczona, i czarne oczy dzikim pałające ogniem, okropny tworzyły obraz.

— Saro! — wymówiła zeicha Maryja.

— Jeszcze! — odpowiedziała niecierpliwie.

— Posłuchaj mnie!

Milczenie.

— Pamiętasz Saro, kiedym razem z wami wszystkiemi była, jak ty troskliwą byłaś o moje zdrowie i wygody? — kto mię w nocy płaszczem swoim okrywał? kto sobie odmawiał napoju bylem ja czystą wodą twarz odświeżyć mogła? kto, kiedym gwoździem skaleczyła nogę, pozbawił się jedynéj chustki by moja ranę opatrzeć?

— Cóż z tego? cóż z tego?

— Tyś mię kochała Saro!

— Czyliż dlatego masz prawo dokuczania mi?

— Tyle przysług świadczyłaś mi z własnéj woli, teraz Saro! ja cię proszę, na kolanach cię proszę, przyjmij ten napój z rąk moich!

Sara odwróciła głowę.

— Saro! odmówiszże pierwszój, jedynéj prośbie mojej?

— Strzeż się dziewczę! zawołała gwałtownie chora, nie znasz Sary! mówiłam ci, że nie pić ani jeść nie będę!

— Ja nie wstanę Saro! nie odejdę od ciebie; rzekła z tkliwym uporem Maryja, i mimo monejszych rumieńców chorój, mimo straszego blasku jój oczu zbliżyła do ust spieczonych kubek z zbawiennym napojem, — lecz rozdrażniona, nieprzytomna sobie Sara wyrywa go, rzuca silną jeszcze choć niepewną ręką i trafia w białe czoło Maryi. — Krew popłynęła strumieniem, zachwiała się dziewczica, lecz widząc w twarzy chorój żal i przerażenie, korzysta z tego, i napełniając drugi kubek, podaje go jój mówiąc:

— To nie, pij tylko?

Taka łagodność, takie poświęcenie się wstrząsnęło twardą duszę Sary; w milezeniu przyjęła podane naczynie, a spełniwszy je, ujęła rękę Maryi, i mimowolnie do ust ją poniosła.

Chłodzący napój zbawienny wpływ wywarł na chorą, uspokoiła się znacznie, lecz z gorączką opuściły ją i siły; utrudzona, osłabiona, nie rzucała się już jak poprzednio, jednak od przyjęcia lekarstwa, od opatrywania ran wzbraniała się ciągle; lecz wtedy Maryja wskazywała jój swoje blade zranione czoło, a Sara w milezeniu i z spuszczeniem oczyma wykonywała jój wolę.

Tydzień już blisko upłynął od owego wypadku; skaleczenie Sary i jój choroba ustępowały zwolna przed staraniem lekarza i troskliwością młodej dozoreczyni, lecz w miarę powrotu do zdrowia, stawała się coraz smutniejsza, spojrzenia jój ponure ku ziemi się ciągle zwracały, i nieraz gdy Maryja przemawiała do niej, odwracała się z niechęcią.

— Co tobie Saro? — pytała tkliwa jój towarzyska, — dlaczego tak żywa, tak wesoła prawie na początku przeprawy, teraz tak ponurą się stajesz?

— Bo... bo ja nie chcę dopłynąć do Australii.

— Nie chcesz! któż z nas chciałby? — a przecież dopłyniemy.

— Ach Maryjo! gdyby nie ty! jużbym była wolną.

— Tobie gorączka powraca!

— O nie! posłuchaj tylko! z początku przeprawy, prawda, myślałam nad tém tylko, by jak najmniej cierpieć, jak najmniej niewygody doznawać, o wygnaniu myślałam jak o rzeczy jeszcze dalekiej; — ale kiedy ze wszystkich stron nasłuchiwałam się o ciężkich pracach, o surowej karności, o tém jak tam wygnańcy pilnie są strzeżeni, co dzień bardziej zaczęłam lękać się téj strasznej ziemi, gdzie z jednej strony morze i bagnety żołnierzy, z drugiej, góry i włócznie dzikich Australczyków, jak murem nieprzebytym otoczą nas dokoła.

Na to opowiadanie Maryja spuściła głowę na piersi; — Sara mówiła dalej:

— Codzień, mówię, smutniej i ciężej było mi na sercu; nieraz, ja co w Szkocyi nie wzdychałam nigdy; nieraz patrząc oknem na te niezmie-

rzone wody, westchnęłam poglądając w tę stronę gdzie mi z oczu znikła moja ziemia, zadrżałam pomyślawszy o tój do której dążę; — nieraz wyszedłszy na pokład chciałam się rzucić w morze i zginać, ale wiedziałam, że zręczni żeglarze wydobyliby mnie pewnie.

— Co mówisz! zawołała przerażona Maryja, chciałaś się utopić?

— Tak; — potem kiedym spadła z drabiny, myślałam, że umrę, a przyszedłszy do siebie w szpitalu, postanowiłam nie jeść ani pić zakończyć smutne życie. — Tyś mi nie dała!...

I z gorzkim wyrzutem spojrzała na swoją zbawczynię.

Maryja w zadumaniu patrzyła na mówiącą.

— Powiedz mi, rzekła po chwili, biorąc ją za rękę, czy znasz ty Saro przykazania boskie?

— Znam wszystkie dziesięć.

— I chciałaś się stać zbójczynią?

— Samęj siebie! cóżby to komu szkodziło?

— Powiedz mi Saro, rzekła raz jeszcze Maryja, wiesz ty co to religia?

— Słyszałam nieraz jak wiejskie dzieci pacierze mawiały.

— A ciebie nie uczyła matka modlić się do Boga?

— Nie mam matki, i nie znałam jój wcale.

— A ojciec?

— Ojciec był przemysłowcem, i pewnie sam nie modlił się nigdy.

— A w kościele nie słyszałaś nigdy nauki lub kazania?

— Przemysłowcy nie chodzą do kościoła.

— Biedna, biedna Saro! więc ty nie znasz Boga, nie wiesz jak On jest dobrym, jak potężnym, jak kocha nas ludzi!

— Kocha?... i mnie kocha?...

— Jakżeby miało być inaczej? czyliż nie jesteś jak wszyscy dziecięciem jego, biednym, nieświadomym dziecięciem, które może tylko z nieznajomości praw Jego zbłądziło, a przecież Bóg własnego Syna zesłał na ziemię, by zbłąkane dzieci zwrócił do Niego!

— Nie odpowiadasz Saro! czylibyś i o tém nie wiedziała?

— Ja nie wiem, o niczym nie wiem; — o! mów, proszę cię, mów mi o Bogu!

Dla pobożnej, enotliwej Maryi słodkie to było

zatrudnienie; od dzieciństwa nauczana religii słowy i przykładem, czytaniem ksiąg pobożnych u lady Wilton, a bardziej może rozważaniem ich w więzieniu, pojęła głęboko boską naukę Zbawiciela, nauczyła się badać własne myśli, roztrząsać czynności, dosłyszeć najłżejszy głos sumienia, i za podstawę każdego czynu kłaść świętą miłość Boga i bliźniego.

Sara, córka kontrabandzisty, od dzieciństwa przyuczona przekradać zrecznie towary, przez całe życie patrząc i dzieląc burzliwe przemytników przygody, nie zastanowiła się nigdy nad tém, że codzień, co godzina nowy popełniła występek. Silna, odważna, zuchwała nawet, wielką ojeu swemu i jego towarzyszom była pomocą, jój zręczność, przebiegłość, za wzór innym dziewczętom stawiono, obsypywano ją pochwałami, imię jój nawet z poważaniem wymawiano. — Sara upojona fałszywemi hołdy, uważała się za wyższą od innych istotę, i za nie w świecie nie pomieniałaby się na swój los, z prostą wiejską dziewczyną cichą, łekliwą, spokojnie przy boku matki żyjącą; — a jednak biło jój serce gdy czasem zakapturzona szła z jarmarku i na drodze pod

figurą ujrzała klęczącą ubogą rodzinę, lub żebraka śpiewającego pobożne pieśni. Nieraz podsłuchiwała jak wiejskie dzieci pilnując trzody po górach ranne lub wieczorne odmawiały modlitwy; z ciekawości nauczyła się pacierza, powtarzała go przebiegając głębokie parowy, lub kołysząc się po morzu w lekkim czółenku; ale światło wiary, ale pojęcie tych cudnych wyrazów nie przedarło się do umysłu, zatopionego w występnych zabiegach.

Każde słowo Maryi padało więc w jój serce jak ziarno w nieuprawną, lecz pełną sił żywotnych ziemię. — Z podziwieniem słuchała o wielkości i miłosierdziu Boga, poznanie świętych praw Jego zbudziło tak długo uspięne sumienie przemytniczki, groźny głos tego wewnętrznego sędziego wyrzucać jój począł każdy czyn, każda myśl i całe życie, — trwogą przejęta, Sara pochyliła się w rozpacz, nie śmiejąc spojrzeć na przeszłość; lecz kiedy Maryja widząc tak zawienny wpływ swoich usiłowań, wspomniała ile to jeszcze czasu zostało do odpokutowania, do zatarcia jój błędów, ile jeszcze sposobności mieć będzie do dobrego, jeżeli Bóg pozwoli jój czas

jakiś przeżyć na smutnej ziemi wygnania; Sara podniosła czoło, w czarnych jej oczach zajaśniał czysty zapał do cnoty, a klękając przed Maryją i ściskając z uczuciem jej rękę rzekła:

— Wierzę, wierzę wszystkiemu co słyszałam, bo to czego nikt z ludzi nie widział, ja widzę mego anioła stróża, widzę ciebie!... Ah Maryjo! ja teraz dopiero żyć zaczynam, i to życie podwójnie tobie winna jestem; — tyś nie pozwoliła umrzeć mojemu ciału, i tyś zbudziła duszę co tak długo nie wiedziała o sobie. — Wszystko cokolwiek dobrego pomyślę, uczynię, to twoje; — a cóż ja ci dam za to?

— Kochaj mnie Saro! — rzekła podnosząc ją rozezulona Maryja — bo tam dokąd płyniemy, do niezyjgo serca prawa mieć nie będę.

— Do mego, na wieki! Nie wiem jeszcze jaki los czeka nas tam obiedwie, ale tego jestem pewna, że dopóki żyć będę, moja Maryja nie dozna niedostatku, nie schyli się w ciężkiej pracy, nie narazi się na niebezpieczeństwo.

XI.

OSADA.

Z pomieszaniem uczuciem trwogi i radości, usłyszeli pewnego ranka wygnańcy rozlegający się ze szczytu odgłos: „ziemia!“ odgłos ten zabrzmiał w jednej chwili na całym okręcie: majtkowie i żołnierze cieszyli się namiętną spoczynku, przełożeni ich wdychali do rodzin swoich, osiadłych już od lat kilku na żyznym Australii wybrzeżu; wygnańcy tylko z niepewnością oczekiwali zmiany jaka w ich położeniu zajść miała. — Wkrótce z łona mgły błękitnawej wynurzyły się wyraźnie góry lasami pokryte, później wieże budynków, a nakoniec warownia i port *Jackson*: owa przystań, w której stanęły pierwsze angielskie okręta po Cooku zwiedzające Australię. — Działa por-

towe powitały wystrzałem banderę W. Brytanii powiewającą na statku, i w kilka godzin wygnańcy wysadzeni na ląd, kołysząc się na nogach długą osłabionych żegluga, stanęli w *Sydney*, miejscu, które nazwać można stolicą Australii, gdyż tam przebywają władze kierujące karnemi osadami.

Umieszczono ich tymczasowo w więzieniach, lecz w kilka dni później, wielkorządca p. Pater-son ułatwiwszy ważniejsze sprawy, kazał sobie podać dziennik okrętowy, i porównawszy zamieszczane w nim uwagi z odpisami wyroków wydanych w Anglii, porozdzielał wygnańców w miejsca ich przeznaczenia.

Tych, którzy się ciężkich dopuścili występków, lecz w czasie przeprawy okazali powolność i chęć poprawy, przeznaczono do wykonania prac około budowy dróg, mostów, portów, i wszelkich gmachów rządowych; zuchwałych i niepoprawionych odsyłano na wyspę Norfolk, oddaloną od zamieszkałego wybrzeża, gdzie w pracy i okowach, bez związków z zewnętrznym światem, bez najlżejszej zmiany czekali końca swój kary, lub złagodzenia wyroku w skutku dobrych świadectw

nadzorców nastąpić mogącego. Najmłodszych i najmniej winnych rozdzielano pomiędzy osadników dla wyręczenia i pomagania im w pracy.

Sarę i Maryję jednemu przeznaczono panu, był to stary wojskowy, który jeden z pierwszych zwiedziwszy tę nową ziemię, poznawszy jej bogactwa, zamienił oręż na lemiesz, sprowadził żonę i dzieci, a stawszy się z żołnierza osadnikiem nad tém tylko przemyślał, by jak najlepiej gospodarstwo swe prowadzić, i coraz większe zbierać korzyści.

Żona jego i córki zajmowały się utrzymaniem domu, pomagały ojeu w prowadzeniu rachunków, lecz większą część czasu trawiły nad zdobieniem postaci swojej; a stroje ich podług własnych układane pomysłów, nieraz na powszechne pośmiewisko je wystawiły. — Dowiedziawszy się że Maryja była pokojową bogatą i znakomitą angielską, wymogły na ojeu, że im zupełną odstąpił władzę nad młodą wygnanką, której wale siły nie wielkaby mu przy cięższej pracy korzyść przyniosły. Sarę zdrową i silną przeznaczył nowy pan do doglądania trzody i ogrodu! Przez cały dzień zatem nie widziały się z sobą; lecz wie-

czorem, kiedy młode osadniczki przystrojone wstęgami i kwiatami siedziały w gościnnéj izbie, i brząkaniem na gitarze bawiły gości przybyłych z sąsiedztwa, lub usypiały znudzoną matkę, kiedy zamknięto obórkę, spuszczone psy do ogrodu, wtedy obie wygnanki ująwszy się pod ręce, biegły na wzgórze wznoszące się za domem, a siadłszy pod cieniem palmy lub platanu, opowiadały sobie całodzienne zatrudnienia, doznane przykrości, ledwie, że nie myśl każdą, i poglądając na ocean błyszczący w dali w promieniach zachodzącego słońca, wspominały smutną przez fale jego przepławę, ówczesne swoje rozmowy, lub wzdychały za ziemią, którą dopiero po upływie lat pięciu powitać się spodziewały, a której niebo mgliste, plony skąpe, przecież tak mile do siebie nęciły ich dusze, że Australia z podwójnem do roku żniwem, tak szczerze ozdobiona najpiękniejszemi kwiatami, najrzadszym owocem, tak troskliwie ogrzana złotym słońca blaskiem nie mogła rozjaśnić ich lica, nie mogła zrzucić smutnéj nazwy: „ziemi wygnania“.

Dla pobożnéj i zastanawiać się lubiącéj Maryi każdy przedmiot nieznany otwierał nowe pole

rozwagi i uniesienia, dziwna urodzajność roli niewymagającéj ciężkiéj uprawy, deszcze obfite zalewające ogromne kawały kraju i użyźniające ziemię, susze i upały przypadające zwykle w czasie żniwa, nieznane ptaszki, wszystko to unosiło jéj duszę, pobudzało ją do wdzięczności i uwielbienia dla Stwórcy. — Sara siedząc u nóg przyjaciółki słuchała w milczeniu jéj uwag, a chociaż czasem niezupełnie ją rozumiała, przecież nie śmiała przerwać mowy o Bogu, o tym Bogu, którego tak niedawno poznała i ukochała.

W zamian i Sara miała o czém mówić: — opowiadała Maryi jak w *Sydney* na targu, dokąd ogrodowiny woziła, ujrzała kilku australczyków, którzy przynieśli skóry dzikich zwierząt na sprzedaż, a raczéj na zamianę za broń lub inne żelazne narzędzia, co słyszała o dzikości tych pokoleń mieszkających za górami dzielącemi wybrzeże zamieszkałe przez osadników od głębi kraju. Opisywała przepych mieszkania wielkorządcy któremu od pani swojej nosiła świeży nabiał, o wygnaniach i zmianie w ich położeniu, opowiadała, który przebywszy czas za karę mu przeznaczony osiadł dobrowolnie na wydzielonym mu gruncie, i z zło-

czyńcy stawał się rolnikiem. Nieraz silna i żwawa przebiegając pole, schwyciła sierp z omdlałej ręki starego żniwiarza, i w krótkim czasie wykonała zadana jemu pracę; nieraz zbłąkane dziecko odniosła na ramionach do chaty rodziców; nieraz na osiołka służącego jój do przewożenia jarzyn posadziła znużoną staruszkę, a sama wzięwszy brzemień na ramiona szła obok niej wesoło, choć kamienie rozsypane po drodze do krwi bose jój nogi raniły. Rzadko wspominała o tém Maryi, bo czuła, że czyn dobry póty tylko nas cieszy, póki podług wyrażenia Ewangelii nie wie lewa ręka co zrobiła prawa, lecz ile razy wydał się mimowolnie podobny czyn Sary, Maryja ściskając ją mówiła z uśmiechem:

— A co? nie prawdę mówiłam, że warto żyć na ziemi, choćby nie dla siebie?

I zawsze łzy wdzięczności w oczach młodej przemytniczki jedyną bywały odpowiedzią.

XII.

UCIECZKA.

Rok blisko upłynął tym sposobem; w Australii znaczna tymczasem przysposabiała się zmiana; — łagodny zarząd pana Paterson niebardzo był korzystnym dla osady, wygnańcy bowiem nie lękając się surowości wielkorządcy, nietylko że się opuszczali w pracy, lecz wracali do dawnych przewinień, osadnicy nie chcieli wnosić należnej ilości ziemnych płodów potrzebnej do wyżywienia wojska, a żołnierze głodni, również niechętnie wypełniali rozkazy naczelnika; wieści o takim stanie rzeczy doszły do Londynu, i wnet na zastępcę dotychczasowego wielkorządcy przeznaczono pułkownika *Bligh*¹⁾. Mąż ten znany z męstwa,

¹⁾ W epoce w której opowiadanie to umieściłam, wspomniane tu wypadki rzeczywiście miały miejsce.

prawości i nieugiętego charakteru, przybywszy do *Sydněj*, zajął się gorliwie przywróceniem zachwianego porządku; dniem i nocą zwiedzał najodleglejsze zakątki osady, przywracał najściślejszą karność, rachował się z osadnikami, bywał przytomnym rozsądzaniu spraw i wydawaniu wyroków, słowem był wszędzie, gdzie tylko obecność jego potrzebną być mogła. — Pułkownik lubo w podeszłym już wieku, był beżżennym, i utrzymywał, że kto jak on całe życie spędza na morzu lub na polu bitwy, nie powinien przywiązywać się do domu i rodziny; — jednakże kiedy ukochana jego siostra umierając powierzyła małeńką córeczkę opiece wuja, kiedy wymogła na nim przyrzeczenie, że nie opuści biednej sieroty, pułkownik przywiązał się całą duszą do młodzietkiej Emmy, wychowywał ją jak własne dziecko, piastował, pieścił, a nawet odpływając do Australii zabrał z sobą ośmioletnią dziewczynkę, ażeby nie złamać danego jój matce przyrzeczenia.

Pomimo wspaniałych ofiar pułkownika, kobiety dozorujące Emmy nie chciały jój towarzyszyć do Australii, lękając się pobytu w kraju o którym tyle najdziwniejszych wieści biegało

nietylko po Anglii, lecz po całej Europie; — jedna tylko stara piastunka ulitowała się nad dziewczęciem, i więcej z przywiązania niżeli w nadziei znacznej nagrody wsiadła na okręt. — Trudy podróży zwałiły do reszty osłabione wiekiem zdrowie staruszki, i za przybyciem do *Sydněj* nie było komu służyć i pielęgnować Emmy. P. Bligh niespokojny o bezpieczeństwo i wygodę swojej wychowanki, począł się troskliwie starać o dobrą jaką kobietę, co w rzeczy samej nie bardzo było łatwo; — z osadniczek bowiem żadna nie przyjęłaby takiego obowiązku mając domowe zatrudnienie, a o wygnankach ani myśleć nie chciał pułkownik. — Po długim wahaniu, po tysiącnych badaniach, zdziwiony jednogłośnie pochwałami jakie wszystkie oddawali Maryi, wielkorządca postanowił przyjąć ją do usług Emmy, ułożył się z dotychczasowym jój panem, który mimo niechęci żony i córek, bez wymówki ustąpił biedną wygnankę władcy całej osady.

Maryja smutnie poszła do *Sydněj*, żal jój było ślicznych pól, szerokiego widnokregu, spokojnego wiejskiego życia, a nadewszystko towarzystwa Sary, z którą po pierwszy raz rozłączyć się miała,

lecz smutek jój zwiększył się jeszcze, kiedy stawszy w mieszkaniu wielkorządcy poznała, że służyć i dogadzać ma zepsutemu, wymyślnemu dziecięciu. — Emma przywykła do licznych sług w domu wuja, pojąć nie mogła, jakim sposobem jedna osoba wydoła jój żądaniom; Maryja zaś lekając się wpływu jaki zbliżenie innych wygnanek, ich mowa i obejście mogłyby mieć na dziecię, natężyła wszystkie siły, chcąc sama jój życzeniom zadość uczynić.

Nie wiem czy długo podolałaby temu; bo nie dość było nieustannych starań przez dzień cały, młoda wygnanka w nocy nawet spoczynku użyć nie mogła. — Emma bowiem w czasie żeglugi z Europy polubiła jednostajny ruch okrętu, i nie mogła zasnąć na zwyczajnym łóżku, trzeba zatem było co noc kołysać ją po kilka godzin. Żywa, ciekawa, chciała zwiedzić każdy zakątek osady, a unikając dziennych upałów wybiegała równo ze świtem; w przejażdżkach po morzu i ziemi Maryja nie mogła jój odstąpić ani na chwilę, bo rozpieszczona Emma pokochała ją serdecznie, i nie wiedząc sama o tém, dręczyła nie-

ustannie swoją dozorczynię wymagając od niój to powieści, to przeczytania jakiego ustępu.

Pewnego wieczora Emma wróciwszy z wiejskiego domku, który wielkorządcę kazał dla niój w bliskości *Sydněj* urządzić, znużona przechadzką i zabawą weześniej jak zwykle zabrała się do spoczynku. — Zrzuciwszy szybkoienne ubranie, uśmiechnęła się do Maryi, skoczyła lekko na miękkie łóżko zawieszone u sufitu na jedwabnych sznurach, i przeciągając się na nióm rzekła nie-
dbale:

— Ah! zapomniałam o pacierzu! — Maryjo ty się tak lubisz modlić, zmów pacierz i za mnie!

Uśmiechnęła się Maryja, i klękła do modlitwy, ale nim ją skończyła ucichło ziewanie i szepty w łóżeczku Emmy, i już tylko równy ruch zegara przerywał głębokie milezenie.

Biedna wygnanka oddawna spragniona samotności poprawiła lampę; rozłożyła pismo święte na stoliku, jedną ręką ujęła sznur zwieszony od łóżka, na drugiej wsparła głowę i kołysząc śpiące dziecię zaczęła czytać tę księgę, z której nawykła czerpać siły i pociechę. — Niedługo jednak cie-
szyła się spokojnością; Nemrod pies nowoziemski,

ulubieniec pułkownika Bligh, położył się przy nogach Maryi, która go łagodnością i pieszczotami od wejścia w dom wielkorządecy przynęciła do siebie, lecz wbrew zwyczajowi swemu zamiast spoczywać w milczeniu zrywał się co chwila, wracał, podbiegał do drzwi jak gdyby przeczuwał coś niezwykłego, i ledwie surowy rozkaz Maryi skłonił go do położenia się na powrót. — W chwilę potem za przymkniętymi drzwiami do biblioteki usłyszała rozmowę, i poznała głos pułkownika i pierwszego jego adjutanta.

— Nie spodziewam się tak prędko wybuchu, mówił pułkownik Bligh.

— A ja go się lękam co chwila — odrzekł podwładny jego. — Cała osada szemrze.

— Jak się im podoba! nie mogłem postępować inaczej.

— Jednakże, za nadto ich odrazu ścisnął pułkownik — żołnierze przykrzą sobie karność, wygnańcy prace i ściślejszy dozór, — osadnicy zakaz handlowania napojami, a straszliwa susza od trzech miesięcy trwająca do rozpacz ich przywodzi.

— Zabawnie! przecież ja im deszczu sprowadzić nie mogę.

— Prawda, ale za miesiąc osadnicy będą musieli złożyć należną ilość ziarna, wiedzą, że czekać nie będziesz, a zboże zeschło im na polu.

— Niech sobie czynią co im się podoba, przedsięwziąłem środki ostrożności, — wiem, że mię żołnierze nie odstąpią, a zresztą dam sobie radę.

Jeszcze Maryja nie rozważyła dobrze co znaczyły te słowa, gdy Nemrod poskoczył ku otwartemu oknu, i pokazawszy groźnie zęby szczeknął przytłumionym głosem.

— Ucisz psa! wyrzeczono zeicha; — i wnet z za jedwabnej franki ukazała się twarz bladą z zmęczenia i przestachu Sary, a za obrębem murów otaczających mieszkanie wielkorządecy rozległ się okrzyk tysiąca głosów, i szczęk ścierających się orężów.

— Słyszysz? — rzekła Sara: — cała osada powstaje przeciw Blighowi.

— On wie o tém i zapewne uspokoi ich niezadługo.

— Mylisz się Maryjo, oni chcą tak łagodnego

zarządu jak mieli za Patersona. Wiedzą, że prośbą ani przemocą nie dokażą tego, i postanowili użyć podstępny... Bligh kocha małą Emmę nad życie, oni ją porwą, a wtedy wszystko na wielkorządęcy wymoga.

— Nie znają go!

— Tem gorzej, jeżeli się będzie opierał, biedne dziecię zginie z ich rąk w oczach opiekuna.

— Przerażasz mię Saro! ale zkąd ty wiesz o tém?

— Oddawna z pojedynczych wyrazów tu i owdzie słyszanych domyślałam się tego, dziś zaś ukryta za tamą portową podsłuchałam plan ich do reszty.

— Ach to okropnie! trzeba ostrzedz pułkownika.

— Już on pewnie na czele żołnierzy, ale jeżeli chcesz ocalić Emmę...

— Mów, mów Saro! co czynić.

— Uciekaj do wiejskiego mieszkania.

— A w drodze nie spotkają nas powstańcy?

— Łądem, nie wiem! ale morzem pewną jestem, że nas gonić nie będą. — Tylko śpiesz, bo się zgiełk zbliża.

— Boże! o Boże! nie śmiem opuścić domu.

— Uciekaj, powtarzam ci; — czy słyszysz? walka już wre u bramy.

— Ale któż nas przewiezie?

— Zapomniałaś widzę o mnie! czyliż szkocka przemytniczka nie potrafi rozpiąć żagla, lub wiosłem płynąć po fali?

— Więc trzeba... ach co czynić! co czynić! i Maryja niepewna siebie załamywała ręce, lękając się rozrządzać losem obcego dziecięcia i powierzać je morskiej głębi; lecz w tejże chwili straszliwy huk zagrział przed domem, kłęby dymu i szerokie płomienie buchnęły w pierwszy dziedziniec, a coraz bliższe okrzyki dowodziły, że niebezpieczeństwo zbliża się z każdą chwilą. Nie było co czekać; Maryja ujęła śpiącą Emmę na ręce, otuliła ją czém mogła na przódce, i wyskoczyła oknem wychodzącem do sadu; przezorna Sara zabrała podróżną torbę leżącą przy łóżku, włożyła w nią ulubioną książkę Maryi rozłożoną na stoliku, i wskazując psu to wszystko, rzuciła za okno. Nemrod sunął się do sadu; tego też właśnie chciała przemytniczka, lękała się bowiem, aby zostawszy w mieszkaniu nie poprowadził kogo

tropem uciekających; potem zgasiła świecę, wyskoczyła lekko na murawę, przymknęła okno, podparła okienicę ogrodową tyką, i ujawszy Maryję za rękę puściła się szybkim krokiem po krętych i spadzistych ścieżkach, zstępujących z ogrodu do morza.

Niedługo, posłyszały lekki szum wałów, a Sara spytała:

— Gdzie bacik pułkownika?

— Musi być tu gdzie blisko — odrzekła Maryja — ale w takiej ciemności nie mogę dojrzeć miejsca.

Jakby w odpowiedź jej słowom szeroka łuna oswobodziwszy się z dymu zaległa niebiosa, oświecając nie tylko płonący dom wielkorządcy, lecz całe miasto i wybrzeże. — Jasnością niezwykłą zbudzona Emma sądząc, że na łóżku spoczywa, zawołała na pół śpiąca:

— Maryjo! kołysz!

Lecz wkrótce przecierając oczy:

— Cóż to! gdzie jestem? — krzyknęła przerażona.

— Nie krzycz! — ostrzegła Sara, — słyszę bie-

gających po sadzie, pewnie spostrzegli waszą ucieczkę, pewnie was szukają!

— Ale któż taki?

— Wygnańcy i osadnicy, którzy oto palą dom twego wuja i walczą z jego wojskiem.

— Ach Maryjo! Maryjo! — zawołała Emma chwytając za szyję młodą wygnankę, uciekajmy! oni nas zabijają, oni nie cierpią wuja, i mnie nie lubią.

— Jeszcze chwilkę! — rzekła Maryja — zdaje mi się, że hałas cichnie, może się to wszystko uspokoi.

Kula karabinowa świsnąwszy w bliskości do-wiodła, że czekać nie było bezpiecznie; przy blasku więc pożaru dojrzawszy miejsca gdzie stał ulubiony bacik wielkorządcy Maryja wsiadła w lekki statek, utuliła drżąca Emmę na rękę, Nemrod siadł przy jej nogach, a Sara odczepiwszy łańcuch od przystani, ujęła ster silną dłonią, i w kilka chwil wolne od pogoni, ujrzały się na morzu, mając nad sobą gwiazdziste sklepienia nieba, z jednej strony płonące miasto, z drugiej wybrzeże platanami zarosłe, po za którymi rozkoszne, ciche wiejskie ustronie uśmiechało się do ich wyobraźni.

XIII.

Z G I N Ę Ł Y !

Nazajutrz po owém powstaniu, które tyle przeraziło dwie młode wygnanki, w Sydnéj wszystko wróciło do porządku; ucichły wystrzały, przogasły płomienie, żołnierze stali na straży przy gmachach publicznych, wygnańcy wyprowadzeni do pracy w porcie, wygrzewali się na słońcu zapijając ulubiony sobie napój, którym przytłumiwszy do reszty i tak już stępione władze umysłu, rozprawiali bez ładu o wczorajszym zwycięstwie. — Nieco dalej osadnicy tłumnie z okolic zebrani, pod namiotem wystawionym naprędce raczyli wyszukańszemi napojami wojskowych, którzy się poprzedniego dnia przyłączyli do ich strony; oprócz kilku domów spalonych, prócz

kilku osób zabitych których ciał pogrzebać nie było dotąd komu, zdawało się, że nie nadzwyczajnego nie zaszło.

Tymczasem pułkownik Bligh obciążony łańcuchami, w ciasném więzieniu rozważał wszystko co zaszło. — Nie żałował on ani na chwilę postępowania swego, bo mu tak postępować honor i sumienie kazały; ale od dwunastu godzin bez najmniejszej zostając wiadomości, dręczył się dymśami, co się do téj chwili stać mogło z osadą, którą kraj jego pieczy powierzył, i jaki los stał się udziałem sieroty nad którą czuwać przysiągł matce w godzinie jój zgonu? — Kilku oficerów, starych towarzyszy pułkownika, co wierni obowiązkom nie odstępili go w wczorajszym przesileniu, i dzisiaj téż dzielą z nim niepewność i więzienie. Z rozmowy tych prawych mężów najjaśniej poznać można cały bieg minionych wypadków, lecz nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników, podam im tylko treść takowój.

Silny i surowy zarząd pułkownika Bligh w Australii niepodobał się zarówno wszystkim klasom mieszkańców, szemrano więc zeicha; lecz kiedy wielkorządca mimo ostrzeżeń, których mu życzliwi

jego przyjaciele nie szczydzili, nietylko nie zwalniał wydanych rozporządzeń, lecz je owszem coraz bardziej obostrzał i wypełnienia ich jak najściślej pilnował, zniechęcenie doszło do najwyższego stopnia.

Wygnańcy i osadnicy, którym najmocniej dojęła żelazna Bligha prawica, ułożyli i wykonali wiadomy nam napad na dom wielkorządcy; — wojsko pod jego rozkazami zostające, a szczególnie dowódcy wiedzieli o zamiarze uprowadzenia Emmy, i mniemając, że tym tylko sposobem bez rozlewu krwi wyjedną przyzwolenie pułkownika na swoje, i reszty mieszkańców żądania, udawali w pierwszej chwili napadu, że bronią wielkorządcy; lecz kiedy wieść o zniknięciu lub ukryciu się dziecięcia gruchnęła w szeregach powstańców, kiedy rozjątrzona tém gromada, z dzikim wykrzykiem rzuciła się na żołnierzy, broniących się niechętnie, dowódcy widząc, że wojsko wkrótce uległoby przemocy i natarcywości zdziechałej tłuszczy, przerażeni skutkami jakieby wynikły, gdyby jój z bronią w rękę zwycięstwa dopuścić, przyrzekli głośno opuścić wielkorządcę, byle powstańcy do porządku wrócili.

Tak więc Bligh opuszczony od wojska, z rozpaczą w duszy, miotając sprawiedliwe wyrzuty odstępcom, poprowadzonym został do więzienia; już to dla zaspokojenia wygnańców, już dla zasłonięcia go przed ich zemstą.

Tymczasem, Johnston dowódca wojskowego oddziału objął władzę wielkorządcy, i zostawiwszy na pierwszy dzień swego panowania zupełną swobodę podwładnym, zajął się ułożeniem sprawozdania, które na statku mającym za tydzień odpłynąć do Europy chciał przesłać do Londynu; — w sprawozdaniu tém wystawił Bligha jako człowieka okrutnego, który o tyle się całej osadzie naraził, iż lękając się gwałtownego wstrząśnienia, na jednogłośne prośby, on, Johnston i reszta oficerów usunęli wielkorządcę od steru rządu w Sydnėj i zabezpieczywszy jego osobę, oczekują rozporządzenia wyższej władzy ¹⁾.

Nad wieczorem dopiero, Johnston chcąc pozorną uprzejmością osłonić niejako swe postępowanie, szedł do więzienia byłego wielkorządcy. Bligh przyjął go z zimną powagą. Na zapytanie

¹⁾ Przytoczone tu wypadki są ściśle historyczne.

czegooby żądał dla uprzyjemnienia samotności, w jakiej jeszcze czas jakiś pozostać mu wypadnie? stary żołnierz wskazując na towarzyszy więzienia rzekł:

— Samotnym nie jestem, mam tu bowiem towarzystwo, jakim w tej chwili nie poszczyci się cała osada. — Ale nie o mnie tu idzie; — któż objął ster rządu.

— Mnie kazano stanąć na czele; — odparł nieśmiało Johnston.

— Spokojność przywrócona?

— Zupełnie.

— Jeżeli WPan w nowym zawodzie będziesz potrzebował objaśnień mogących jaką korzyść zapewnić osadzie, udzielię ich chętnie.

Johnston chciał dziękować, lecz Bligh przerwał mu mowę zapytując:

— Skoro zupełny porządek panuje w mieście i okolicy, spodziewam się, że moja siostrzenica lady Emma Witmore należnych doznaje względów?...

Zmięszął się Johnston, bo o biednej Emmie nikt dotąd nie pomyślał; — nagradzając to zapomnienie, rozesłano na wszystkie strony zwiady, lecz próżno. — Po nieładzie w pokoju dziecięcia

i zniknięciu Maryi, domyślano się ucieczki; po śladach wyciśniętych na piasku w ogrodzie odgadniono jej kierunek; odczepienie bacika wielkorządcy wskazało prawie pewność, że Maryja przepłynęła się z Emmą na drugą stronę zatoki, do wielkiego domku pułkownika, lecz dalsze poszukiwania daremnymi się okazały, nikt tam nie widział dziecięcia!

Bligh strapiiony tą wiadomością, z więzienia podawał tysiączne środki znalezienia Emmy. Johnston lękający się odpowiedzialności za zginienie dziecięcia, należącego do jednej z najpierwszych rodzin angielskich, wypełniał troskliwie rozkazy swojego więźnia.

Po tysiącznych poszukiwaniach na wybrzeżu, znaleziono tylko chusteczkę należącą do Emmy, którą wiatr gwałtowny zaczepił o nadbrzeżną skałę; wnoszono zatem, że bacik nie rozbił się dotąd, gdyż szczątki jego, lub zwłoki zatopionych ukazałyby się także. Porosyłań statki do wysp znanych już na oceanie spokojnym, a nie mogąc bez wyższego zezwolenia rozrządzać okrętem, uzbrojono tymczasem największą szalupę, opatrzono w żywność, osadzono ludźmi przywiza-

nemi najszezerzój do Bligha, i zachęciwszy ich przyrzeczeniem znacznej nagrody, wysłano na zwiady. — Wyprawa ta spędziwszy wśród tyśiącznych niebezpieczeństw tydzień cały na otwartém morzu, wróciła bez innego śladu, prócz kawałka płótna, który dostrzeżono na falach, a który po znakach uznano za część żagli z poszukiwanego statku. Szezaćki żaglu zerwanego gwałtownym wichrem, nie dowodziły jeszcze wprawdzie rozbicia, lecz nie pozostawiały także wielkiej nadziei odzyskania kiedyś straconych. — Bligh nawet, który najdłużej trwał w przekonaniu, że usiłowania jego uwieńczone pomyślnym skutkiem zostaną, Bligh który uwielbiał poświęcenie i przeklinał śmiałość Maryi, który jój prawie tyle ile własnej wychowanki żałował, on sam w czasie długich poszukiwań i nudzącego więzienia upadłszy na duchu, ze smutkiem, lecz stałością powtórzył za powszechnym odgłosem:

— Zginęły!

XIV.

B E T T Y.

Opuszcziliśmy młodą siostrę Maryi w chwili, gdy ją obłąkany ojciec chorą i nieprzytomną sobie uniósł z domu przed mniemaną sądową pogonią; — przez długi czas ukrywał się z nią po dzikich i górzystych Szkocyi okolicach, codzień do innój wstępując chaty, i doznana gościnność odpłacając usilną pracą: już to około uprawy jałowej ziemi, już przy budowie lub naprawianiu domów. — Czy to częsta zmiana miejsca i powietrza tak skuteczna w chorobie, czy też niezwykła siła dziecięcia przyspieszyła jój wyzdrowienie, dość że w kilka tygodni po opuszczeniu domu, Elżbietka chodziła już o własnej sile, lubo

na twarzy pozostały jeszcze ślady straszliwej ospy, nie szpeciło ją to bynajmniej.

Zadziwiająca jest rzecz, iż obłąkani uroiwszy sobie fałszywą myśl jakąś, rozwijają takową i postępują za nią z największym rozsądkiem i trafnością, i Gilbert powziąwszy mniemanie, iż klejnotów zgubionych lub ukrytych przez Maryję, sąd na drugiej i ulubionej jego córce dochodzić chce koniecznie, do tego dążył jedynie, by swoją Betty przed tém poszukiwaniem zasłonić. — Najprzód więc zakazał jój najsurowiej by przed nikim, a nawet przed nim samym nie wspominała o siostrze, ani o czémkolwiek coby z nią jaki stosunek mieć mogło; a Betty widząc, że każde przestąpienie tego rozkazu wprawiało ojca w niezwykłe uniesienia, przyzwyczaiła się z czasem do zupełnego w tym względzie milezenia. — Lecz nie dość na tem było Gilbertowi, nieznacznie, ale z widocznym namysłem krążył on po szkockiem, a później po angielskiem wybrzeżu, pracując gorliwie i domagając się zapłaty za zręcznie wykonywane roboty, które mu jako wędrownemu cieśli, więcej gospodarze chętnie powierzali. W ten sposób przybył do Dowru, najął miejsce na statku

odpływającym do Dieppe, przepawił się nim z Elżbietką, i dopiero stanąwszy na francuzkiej ziemi, ujrzawszy morze pomiędzy sobą a urojoném prześladowaniem, odetchnął swobodnie.

I tu wszelako nie opuściła go obawa; milczący, nie znając francuzkiego języka, niepewny co mówiono dokoła, drżał w każdej chwili o Betty i nakazywał jój, by w czasie kiedy on w porcie pracował nie opuszczała izdebki, którą najął w najlichszym zakątku miasta; ale młode dziewczę uporządkowawszy nędzne schronienie, przyrządziwszy ojeu skromny posiłek, cóżby samo robiło? — Elżbietka popatrzywszy oknem przez dni kilka, policzywszy szyby i kominy sąsiednich domów, znudzona, niecierpliwa, zbiegła na ulicę, a wmieszawszy się między dzieci portowych najemników, dzieląc ich zabawy, w krótkim czasie nauczyła się mówić po francuzku, i nieraz dla rozweselenia ojca śpiewała mu nadmorskie piosenki, a cieśla śmiał się serdecznie z barbarzyńskiej mowy, której jak mu się zdawało, Elżbietka musiała się nauczyć od ptaszków zaglądających do jój okienka.

Dwanaście lat kończyła Betty, kiedy Gilbert

po ciężkiej i pospiesznej w okrętowych warsztatach pracy, zachorował śmiertelnie, i w ostatnich nawet chwilach nie mogąc się pozbyć nieszczęsnego obłąkania, przełożył córce jakie niebezpieczeństwo czeka ją w ojezyźnie, zaklął by nigdy nie wracała do Szkocyi, i skończył smutne życie. — Dwa okropne ciosy uderzyły razem w młode serce Elżbiety: strata ojca, i najstraszliwsze wyrzuty sumienia; — cała przeszłość rozwinęła się przed jej pamięcią, przypomniła sobie ową nieszczęsną igraszkę z peruką i brylantami, którą jej siostra tak drogo przypłaciła, i jedno, palące, niepowściągnięte pragnienie opanowało jej duszę, pragnienie uwolnienia i usprawiedliwienia Maryi. — Lubo tak młoda jeszcze, lecz wzrosłszy prawie samotnie obok obłąkanego ojca, przywykła radzić sobie w potrzebie, nie uległa się trudności, jakie powrotowi jej do rodzinnego kraju towarzyszyć mogły, i zaledwie zwłoki Gilberta w orszaku wszystkich okrętowych cieśli, postępujących poważnie ze świecami i toporami w rękę, odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku, już Elżbieta z czerwonymi od płaczu oczyma obejmując kolana dowódcy okrętu, który miał wkrótce

odbijać do Anglii, błagała go, by ją zabrał na pokład swego statku. — Zmiękczony prośbą dziecięcia kapitan przewiózł ją znowu do Dowru, a ztamtąd Elżbietka za jednej myśli popędem już pieszo, już na wózku wieśniaczym, to o głodzie, to o żebranym chlebie przybyła sama do Wiltonhallu, przesunęła się przez odemkniętą kratę; śmiało weszła na schody, a otwierając drzwi do pokoju lady Wilton siedzącej pod oknem nad paką papierów rozłożonych na stole, padła jej do nóg wołając:

— Pani! twoje brylanty nie zginęły, jam je w dziecinnéj pustocie ukryła w perukę....

Poznała lady Wilton w nędznej, obdartej, ogorzałej dziewczynie owe dziecię, które tak często tkliwych od niej doznawało pieszczot; podniosła ją, posadziła obok siebie, i przyszedłszy nieco do spokojności, uwiadomiła ją, że nieszczęśliwy klejnot znalazł się wkrótce po osądzeniu Maryi, i że niewinność jej zupełnie dowiedziona została.

— A więc ona wolna; wykrzyknęła klasnawszy w dłonie Elżbieta; lecz widząc pomięszanie lady Wilton, dodała niespokojnie:

— Czyżby jeszcze była w więzieniu?... albo... może nie dożyła uniewinnienia swego?

I na jój twarzy malował się wyraz takiego cierpienia, że przerażona lady wołała odpowiedzieć prawdę, niż wystawić biedne dziewczę na dręczące domysły.

Właśnie w chwili przybycia Betty odebrała ostatnie wiadomości z *Sydney*, przywiózł je ztamąd pułkownik Bligh, który po roku więzienia w Australii, po badaniu i sądzie w Londynie, nie tylko wolnym od winy uznanym został, lecz owszem otrzymał publiczną choć trochę późną pochwałę i podziękowanie za szlachetną wytrwałość, jaką w czasie urzędowania swego okazał. Lady Wilton wiedziała dawno o zniknięciu Maryi, a chociaż sama pewną była jój śmierci, pragnąc pocieszyć Betty załamującą rozpacznie ręce, poczęła jój wylizywać przykłady, cudownego prawie ocalenia żeglujących po oceanie spokojnym, już rozbitków, już uciekających z Australii wygnanców, którzy nieraz na wątlých, kryjomo zbijanych tratwach dostawali się szczęśliwie do Batawii.

Betty słuchała uważnie: nadzieja znalezienia kiedyś siostry rozjaśniła jój lica, i ukoiliła duszę. —

Spokojniejsza, przystała chętnie na żądanie lady Wilton, by u niej czas jakiś pozostać; opowiadała jój liczne przygody jakich żyjąc z ojcem doznała, czytywała eheiwie dzienniki i książki, których jój nie broniono, a poprosiwszy o objaśnienie mappy, zagłębiała się w jeografii. Pilność ta dziwiła i cieszyła razem lady Wilton, bo mniemała, że podając sposobność rozwinięcia umysłu, zaspokojenia téj nadzwyczajnej żądzy nauki w Elźbiecie, i uposażając ją kiedyś przyzwoicie, nagrodzi choć w części krzywdę i cierpienia Maryi, których sama lubo niewinnie była pierwszą przyczyną.

Ale jakże się zdziwiła, kiedy raz Elźbietka przeczytawszy ogromny tom podróży po oceanie spokojnym, zamknęła go szybko, a całując lady Wilton w rękę rzekła:

— Teraz, żegnaj mi pani, idę do mojej matki.

— Dziwaczysz moja Betty; rzekła zdziwiona lady Wilton; — matka ciebie nie potrzebuje w téj chwili, a tymczasem u mnie nauczyłabyś się czego.

— Już się nauczyłam czego mi potrzeba; wiem teraz, że przy pomocy Boga można na lekkim czólnie przepłynąć ocean bez szkody,

wiem, że do koła morza mieszkają ludzie, więcéj się uczyć nie chcę, i nie mam czasu.

— Cóż znaczy ta mowa?

— To pani, że teraz prawie pewną jestem iż moja Maryja jeszcze żyje, a gdziekolwiek ona jest, muszę ją znaleźć i przebłagać.

— Dziecko! nie wiesz o czém mówisz, nie zastanowiłaś się nad odległością miejsc; — sądzisz, iż tak łatwo opłyniesz ocean, jak przebyłaś kaletańską ciasninę?

— O! bynajmniej! wyrachowałam sobie ile mil przebyć na to potrzeba, a nie tracąc czasu, mogłabym całą tę podróż odbyć w dwóch latach.

Lady Wilton zdziwiona pewnością z jaką Betty opowiadała swoje przedsięwzięcie, strwożyła się myśląc: — czy nie odziedziczyła po ojcu obłąkania ta śmiała, rozważna, i pod każdym względem zadziwiająca dziewczyna.

— Moja Elżbietko; przemówiła mylady poważnie; — piękną bez wątpienia jest myśl twoja, i może nie zupełnie płonna nadzieja znalezienia kiedyś Maryi; — ale zdaj to na Boga, bo zuchwalstwem byłoby z twojéj strony zamierzać nawet tak ogromną podróż. — Do tego trzeba

majątku, wiadomości, a przynajmniej starszego wieku.

— To prawda! ale ja też nie samabym pojechała. — Patrz pani!

Betty podała lady Wilton leżący na stole dziennik, wskazując na następne doniesienie:

„Rodzina z czterech osób złożona, zamierzająca długą podróż do Ameryki, życzy sobie znaleźć osobę, posiadającą dostatecznie język francuzki i angielski, by mogła służyć za tłumacza: Osoba taka ma być młodą, i zdolną do zniesienia trudów podróży. Zapewnia się przyzwoite względy i wynagrodzenie. Wiadomość powziąć można w Londynie, w hotelu francuzkim, u hrabiny de Beaumont.“

Lady Wilton opuściła ręce w zadumieniu; podróż przed chwilą za wymysł gorączkowej wyobraźni uważana, była więc podobną! Mocny charakter Elżbiety zapewniał o moralném jéj wytrwaniu; ale czyż możnaby puścić dziecko samo, z obcemi, na drugą stronę świata?

— Podziwiam cię Elżbieto! przemówiła nakoniec, jednakże pomyśl wprzód, nim cokolwiek

przedsięweźmiesz, że przez kilka lat musiałabyś znosić trudy i niewygodę.

— Maryja zniosła więzienie, wygnanie, i teraz pewnie nie mieszka jak ja w pałacu!

— A twoja matka?

— Moja matka nie potrzebuje mnie w tej chwili. Sama to pani wyrzekłaś; wiem że łaska twoja zapewniła jej byt wygodny.

— To jej nie zastąpi oddalenia ostatniego dziecięcia.

— Ach pani! o ile pamiętam, moja matka jest anielską kobietą, — ale pani nie wiesz; — Maryja, to był jej skarb, jej pociecha; Maryja była wsparciem i przyjaciółką matki, a ja — ja włączając się ciągle za ojcem po lasach i drogach — po mnie ledwie wspomnienie trwogi i niepokoju zostało.

— Nie znasz serca matki Betty; nie wiesz ile razy opłakiwała ciebie.

— Wierzę, o! wierzę! ale mamże patrzeć jak płacze za Maryją? mogęż wzywać macierzyńskiego błogosławieństwa, kiedy zatrulałam jej życie? — mogęż ocierać łzy tą samą ręką, którą je wycisnęła; mogęż nakoniec siedzieć spokojnie przy

ciepłym ognisku, kiedy moja siostra jęczy gdzie może pod otwartym niebem, kiedy mi tu coś ciągle mówi, że ja ją znajdę, byłem szukać poszła!

Betty przyłożyła rękę do serca, a oczy jej takim błyszczały ogniem, twarz tak świętym jaśniała zapałem, iż lady Wilton nie mogła się wstrzymać od pomyślenia, że tylko wyraźna wola Boga natchnęła takim mężstwem i rozwagą — prostą, nieświadomą dziecinę.

— Jedź więc do matki! rzekła: zobaczymy co ona postanowi; — ale przyrzecz mi pierwej, że nawet w razie otrzymania macierzyńskiego zezwolenia, nie przedsięweźmiesz nic bez mojej rady.

— Przyrzekam ci pani!

W chwilę potem, piaszczystą drogą wijącą się od Wilton-hallu, lekkim wózkiem, Betty jechała do rodzinnego domu. — Trudno opowiedzieć widzenie się jej z matką, ale kiedy w dwa dni po przybyciu, odważne dziewczę wybierało się znowu do zamku, kiedy żegnając rodzicielkę swoją, zgięła przed nią kolana i uchyliła jasnawłosą głowę, wychudła ręka wdowy spoczęła na jej czole,

w wyschlém od dawna oku zabłysła Iza rozczu-
lenia, a usta drgające z wzruszenia, wyrzekły :

— Niech cię Bóg prowadzi!

Tegoż samego dnia, lady Wilton pisała do Londynu w celu dowiedzenia się i porozumienia z ową obcą rodziną, a w tydzień, cały zamek był w ruchu, bo milady chcąc się poradzić londyńskich lekarzy względem nadwreżonego zdrowia swego, wyjeżdżała do stolicy Anglii, zabierając z sobą córkę Gilberta.

XV.

ŻEGLARKI.

Silna i zręczna Sara wprawną ręką kierując sterem małego statku, odbijała szybko od brzegu, zkad odgłos zgiełku, i łuna pożaru lubo już słabiej dochodząc uszu i oczu uciekających, napełniały serca ich trwogą i gorącą chęcią oddalenia się co prędzej od niebezpieczeństwa. — Spokojna powierzchnia zatoki, której najlżejszy nawet wietrzyk nie poruszał, kołysała ich lekko, a młoda przemysłniczka oddawna pozbawiona zatrudnień i zwyczajów dzieciennych lat swoich, od dwóch lat pod ścisłym dozorem trzymana, oddychając swobodnie tylko w towarzystwie lubej przyjaciółki, przesuwaną się po obszerném wody przestworzu, pluskała figlarnie wiosłem po zatoce,

i zrazu cicho, potem głośniej, nakoniec z pełną, uszczęśliwioną duszą śpiewała piosnkę szkockich góralsi, przypominającą jej chwile dzieciństwa.

Maryja знаła tę piosnkę, a w głosie Sary tyle było wyrazu, tak głębokie uczucie szczęścia i tęsknoty brzmiało z każdego dźwięku, że mimowolnie prawie, i ona złączyła myśl swoją z myślą towarzyszki, i jej głos temi samymi zabrzmiał wyrazy. Lecz wnet wspomnienie Szkocyi ustąpiło uczuciu religijnemu.

— Ach Saro! rzekła z uśmiechem Maryja, jakie my też bezbożne! dopiero co uniknęliśmy niebezpieczeństwa, i już wyśpiewujemy płocze piosneczki, zamiast składać Bogu dzięki za ocalenie.

— Prawda, odpowie powolnie Sara; — a tej właśnie śpiewki nie powinnabym powtarzać, bo mi za nadto przemytnictwo przypomina.

I zebrawszy przez chwilę myśli, poważnie, uroczyście zanuciła hymn, którego się jeszcze w przeprawie z Europy nauczyła. Maryja wtórowała młodej przewoźniczce, a słodka melodia rozlegając się w przestrzeni, zbudziła uspioną Emmę,

która rozmarzona jeszcze, i nie przypominając sobie gdzie się znajduje, spytała:

— Maryjo! czyliż to już ranek, że swój ulubiony hymn śpiewasz?

— Nie, o! jeszcze do rana daleko; — odrzekła Maryja, — śpij Emmo, wszakże ci wygodnie!

Emma wstrząsnęła główką, chłód nocny ożywił jej zmysł, obejrzała się wkoło mówiąc:

— Ach! płyniemy do Emmy-house? to dobrze; — tylko trzeba było choć do dnia poczekać. — Ale prawda! zapomniałam, że się nasz dom palił w Sydnėj, i... nie pamiętam... ktoś nas gonił podobno?

Maryja opowiedziała dziewczynce przed jakim ją uchroniła niebezpieczeństwem; roztropna Emma zrozumiała jej poświęcenie, objęła wygnankę drobnymi rączkami, i całowała ją serdecznie, a ona nawzajem piesząc dziecinę, okrywała ją starannie przed zimnem i wilgocią.

— Gdybyś chciała usiąść, lub położyć się Emmo, to jabym pomogła Sarze, która się już widzę spracowała nad wiosłem.

— Sara! ta którą często spotykałam biegając z tobą po polach i ogrodzie? — Pomóż jej ko-

chana! ja tu sobie posiedzę spokojnie z Nemrodem i patrzeć na was będę.

— Nie troszcz się o moje utrudzenie, — rzekła Sara: — nieraz ja po całych dniach wiosłem pracowałam, a potem to już nie tak daleko! widzisz ten ciemny pas naprzeciwko, to wybrzeże zaroślami pokryte.

— Jednak dłużej dziś płyniemy niż zwykle.

— Bo też dziś zamiast dwóch wiosłarzy macie tylko dziewczynę, która z początku za leniwo może wzięła się do pracy. — Wreszcie, jeżeli koniecznie chcesz pośpiechu, siądź przy sterze, i pilnuj żeby statek nie zbaczał z prostego kierunku.

Przez jakiś czas trwało milczenie; przerwała je Emma:

— Nie przybliżamy się wcale do brzegu; — nie umiesz widać przewozić Saro!

— Ja sama nie rozumiem co to znaczy; zdaje mi się, że bacik porze szybko wody, a zawsze w jedném od wybrzeża oddaleniu jesteśmy.

— Możeby rozpiąć żagiel? — spytała niespokojna Maryja.

— Spróbuję; jest wprawdzie trochę wiatru od ziemi, może nas popędzi.

Odpięła sznur wstrzymujący lekki żagiel, wiatr wypełnił wkrótce powiewne płótno, i widocznie prędzej posuwał lekkim statkiem, a jednak ów ciemny pas, do którego wygnanki tak usilnie dążyły, zawsze równie daleko, równie niewyraźnie odbijał się na końcu widnokregu. — Powoli już gwiazdy gasnąć zaczęły na sklepieniu nieba, w miejsce łagodnego ich światła nastał mrok ciemniejszy, a po nim blade różowe światło, niby poprzednik jutrenki. — Emma złożywszy głowę na miękkiej ławeczce, znużona milczeniem usnęła znowu; Sara z całej siły robiła wiosłem, Maryja sterowała uważnie, obie niby jedynie pracą zajęte ukradkiem tylko spoglądały na siebie; nakoniec spotkały się ich oczy; — pomimo czerwonego blasku rozlewającego się po całej morskiej przestrzeni, twarze ich blade były jak marmur, a na rysach boleść i przerażenie osiadło.

— Saro, my nie do Emmy-house płyniemy, — wyrzekła zcicha Maryja.

— Widzę to oddawna, wschodni wiatr nas pędzi; — ale nie mamy wyboru, trzeba spieszyć

do ładu jakiegokolwiek, bo patrz! jak czerwono słońce powstaje, ranek nie będzie spokojny na morzu.

— Byłyżbyśmy na otwartém morzu?

— Lękam się tego, lecz prawie pewną jestem.

— Mój Boże!... A ta ziemia co przed nami uciekać się zdaje, czyliż nas przyjmie gościnnie?

— Życie nam przynajmniej ocali.

Znow przeszedł czas jakiś! — Maryja ujawszy drugie wiosło pomagała towarzysze, bo żagiel wiatrem wzdęty sternika zastępował; co chwila wygnanki ocierały pot z czoła, co chwila Sara powtarzała:

— Co za duszące powietrze! o! gdyby czém-prędziej stanąć u brzegu!

— Czy jeszcze płyniemy? — zawołała Emma powstając w głębi statku. — Ja nie chcę płynąć tak długo, ja chcę być w domu!

— Staniemy niedługo, patrz Emmo! naprzeciw nas, widzisz... Maryja chciała powiedzieć: — widzisz ziemię?... lecz głos jój zamarł na ustach, opuściła ręce w rozpacz, wzniosła oczy w niebo, i zwracając się do Sary: zmienionym wyrzekła głosem: — To nie ziemia!...

Sara od chwili już opuściła wiosło, zakryła twarz rękami, i w rozpacz wstrząsając głową przemówiła:

— To chmury!... a w nich burza!...

— Chmury... burza... a ziemia? gdzie ziemia? ja chcę na ziemię, do domu! Do Emmy-house, do Sydnėj, gdzie chcecie płynąć, ale do ładu koniecznie! bo ja się boję tak długo być na morzu, ja jeszcze nigdy tyle wody nie widziałam!

Płaczliwy głos dziecięcia boleśnie przejmował serce Maryi, i Sara chociaż mocniejsza i mniej tkliwa, załamała smutnie ręce, słuchając skarg Emmy.

— Wy widzę obiedwie uwzięłyście się na mnie, niedobre! chcecie mnie może utopić? o gdyby mój wuj mnie słyszał, gdyby moja matka żyła!

Ostatnie wyrazy wywołały gorzkie łzy na lica Maryi.

— Tak, — rzekła tuląc dziecię do piersi, — gdyby twoja matka żyła, nie byłabyś teraz o krok od zguby; onaby się była zdała na Boga, zaufałyby

Jego opatrności, a ja niebaczna! uprzędzić go chciałam.

Na widok cierpienia Maryi, Emma pieścić ją zaczęła.

— Nie! tybyś mnie zgubić nie dała! ale kiedy, kiedy wysiadziemy z tego statku? już mi się i jeść chce!

Biedna wygnanka wzniosła oczy do nieba, ale domyślna Sara schwyciła podróżną torbę, którą w ucieczce rzuciła była na dno bacika, na traf zapuściła w nią rękę i wydobyła zawiątko, którem gospodyni wiejskiego mieszkania Bligha, podług zwyczaju swego opatrzyła powracającą do Sydnéj Emmę, by na przypadek apetytu w przeprawie posilić się mogła. Niewielki to był zapas, bułka, kureczkę pieczoną, i fiaska limonady, bardzo stósowne na przekąskę w przejażdżce, były teraz jedyną żywnością czterech istot, bo trzeba tu policzyć i Nemroda, który co chwila wyglądając z pod ławki, zdawał się równie dziwnie tak długiej podróży. — Maryja udzieliła posiłku tego połowę dziecięciu, resztę zachowując na przyszłość, a lubo Emma serdecznie zapraszała obie wygnanki, by część tego spożyły, za-

dna z nich nie miała chęci do jedzenia; — Nemrod tylko z wdzięcznością przyjął kostki od pieczystego, i znów na statku zupełna nastąpiła spokojność. — Ale nie tak było w powietrzu; wiatr dał coraz mocniej: — już przezorna Sara odpięła żagiel, już lekką osłonę pokrywającą tylną część statku na kształt baldachimu zdjęła, a jeszcze bacik tak się silnie kołysał, że niebezpiecznie było stać, a nawet siedzieć: ze wszystkich stron ściągały się czarne chmury, deszcz zimny i przenikliwy padać zaczął, fale piętrzyły się coraz wyżej, coraz mocniejsza trwoga ogarniała żeglarki, Emma ze drżeniem składała rączki, Nemrod skomlił żałośnie.

— Jeżeli się jeszcze cokolwiek znam na morzu, — rzekła nakoniec Sara, — to nam nie wiele czasu pozostaje.

— Poleśmy więc dusze nasze Bogu, i czekajmy co nam przeznaczy.

To mówiąc Maryja ukłękła, i ujawszy ręką słupek od zasłony, wolnym i wyraźnym głosem poczęła odmawiać modlitwę, używaną w godzinie skonu. Sara i Emma mimowolnie poszły za jej przykładem, a to odwołanie się do miłosierdzia

Najwyższego, to wyrzeczenie się życia w samym kwiecie wieku i zdrowia, nową, cudną prawie odwagą natchnęło ich serca. — Twarz Maryi szczególnie, po skończonych modłach taką jaśniała ufnością i pogodą, jak gdyby słońce z za chmur wyrzawszy ukazywało jój bliski cel drogi.

— Teraz — rzekła powstawszy — czynimy co można, a Bóg nam pomoże.

Sara podziwiając mężstwo i przytomność przyjaciółki, pomagała jój dzielnie; — w niedługiej chwili, rozciągając gęste, smolą napuszczone płótno żaglowe na jednym końcu bacika, i przytwierdzając do ławek, przybitych w koło, utworzyły niby namiocik pod którym na kobiercu złożyły Emmę okryły ją czem tylko było można, oddały pozostałe jedzenie, a przy ciasnem wnijściu wskazawszy Nemrodowi miejsce spoczynku, klękły jeszcze obie, i trzymając się masztu ostatnie modlitwy posłały w niebo.

— Boże! — mówiła w końcu Maryja: — mnie tylko ukarż za zuchwalstwo moje.

— Maryjo! — wołała smutnie Sara, — przebacz! to ja radą i nierozwagą wtrąciłam cię w tę przepaść.



FALE PIĘTRZYŁY SIĘ CORAZ WYŻEJ, CORAZ MOCNIEJSZA TRWOGA OSARNEŁA ZEGLARKI.

-- Matko! ojeze! Betty! żegnam was! Moja rodzinna ziemi! nie ujrę cię więcej.

— Ja tylko ciebie jedną mam na świecie Maryjo! ale ja cię nie żegnam, jam z tobą do śmierci!

Ręce dwóch dziewic splotły się w ostatniem objęciu, w téjże chwili zaciemniło się niebo, zabieliło się morze nawałem piany, brudne wały wzniosły się ze wszech stron jak olbrzymie góry, na statku już się utrzymać nie było można i obie wygnanki padły na dno, każda jedną ręką ścisnąjąc towarzyszkę, drugą przytrzymując pokrycie chroniące Emmę od burzy.

XVI.

ZIEMIA!

Jak długo szalał wicher miotający falą, tego nikt z będących na statku oznaczyćby nie był w stanie, lecz kiedy po lżejszem poruszeniu można było wnieść, że się burza uspokaja, kiedy Maryja i Sara powstały z wody zajmującej bacik do połowy, już słońce oswobodzone z czarnej chmur zasłony przedzierając się przez resztę wyziewów morskich, ukazywało tylko ostatnie promienie, a jasna jego głowa tonęła w widnokregu.

Najpierwsza myśl Maryi do Emmy się zwróciła; — kobierzec na którym ją była złożyła, rozpostarty na niskiej ławeczce uniknął zamoczenia; dziecię blade, zziębnięte, spało snem utrudzenia, flaszka z limonadą dobrze zatkana stała

przy jej nogach, lecz reszta żywności stoczywszy się na dno, przesiąkła morską wodą; a tak do wszystkich udřezeń, przybyła Maryi jeszcze obawa rychłego głodu, nie dla siebie, lecz dla biednego i tak już wycieńzonego dziecięcia.

Nie tu przecież ograniczyły się jej troski; zdając przyszłość na wolę Boga, miała przed oczyma bliskie i groźne niebezpieczeństwo; — bacik do połowy napełniony wodą, płynął ciężko, i nasiakając wewnątrz, coraz bardziej zanurzał się w morze; — trzeba było wyczerpać wodę, a nie łatwa to rzecz była, nie mając innych prócz wiosel narzędzi. — Niezrażone dwie żeglarki wzięły się jednak do pracy, i po długich usiłowaniach udało im się ulżyć cokolwiek statkowi.

Noc się tymczasem zbliżała; Emma zbudzona wyrzekała na głód i zimno, a za cały posiłek ledwie cokolwiek chłodzącego napoju udzielić jej było można. — Maryja i Sara, więcej jeszcze potrzebowały orzeźwienia, bo od doby nie do ust nie wzięły, pomimo tylu wzruszeń i utrudzenia. Po wieczornym zmroku zajaśniał księżyc, uspokojone morze szemrało tylko zcieha, lekki wiatr wschodni popędzał bacik. Emma osłabiona wsparła

głowę na kudłatę szyi Nemroda, a dwie wygnanki koleją wspierając się na ławkach, pokrzepiały snem wyczerpane siły, i od czasu do czasu, kawałem gęstego płótna wybierały ze statku wodę, sącząc ją w niego nieznacznie.

Noc minęła bez przygody, ranek zabłysnął pogodnie, złote promienie słońca zdawały się uśmiechać do naszych żeglarek, i szczęśliwą przyszłość zapowiadać, a jednak niebezpieczeństwo co chwila mocniej im zagrażało. — Mimo wszelkich usiłowań niepodobna już było wyczerpnąć wody cisnącej się do batu, który coraz wolniej, coraz ciężiej płynął, coraz głębiej w morze opadał, i już brzegi jego zaledwie na pół stopy nad powierzchnią wody się wznosiły, już im ledwie parę godzin życia zostawało.

W oddaleniu, ku zachodowi, ciemny pas zdawał się pływać w przestworzu, Sara i Maryja patrzyły w niego bez przerwy, lecz raz już tak okropnie zdradzone nie śmiały ufać nadziei, jaką ten widok napełnił ich serca. Wreszcie Sara klasnąwszy radośnie w ręce, zawołała:

— Do wiosła Maryjo! godzina pracy a staniemy u brzegu!

Z niedowierzaniem spojrzała Maryja na towarzyszkę, a potem z litości i żalu wyrazem zwróciła oczy na Emmę, która utrudzona, zgłodniała, bezwładnie leżała na kobiercu, i jakby przez sen dosłyszawszy słów Sary powtórzyła:

— Ach! do brzegu!

— Maryjo nie ociągaj się! — zawołała pracująca już Sara, — tą razą to ziemia prawdziwa, widzę ptaki unoszące się nad wodą: na jęj twarzy malował się taki zapal, taka ufność, iż na zbladłe od dwóch dni lica wystąpił tak żywy rumieniec, że Maryja nie ufnościami, lecz tajemnym wiedziona pociągiem chwyciła również za wiosło, i statek przędzaj, śmielój, sunąć się zaczął ku upragnionej stronie.

— Ach! czemuż nam fale żagiel uniosły! westchnęła Sara.

— Na cóżby się przydał? patrz! już woda tylko na kilka cali od wierzchu, statek nie pójdzie daleko.

— Mniejsza o to! niech tonie, byle bliżej od brzegu.

Niezwykły od jakiegoś czasu ruch statku, wyrwał Emmę z odrętwienia; wsparła się na

ręku, i z podziwieniem patrzyła na swoje towarzyszek.

— Do ziemi płyniemy! — rzekła Maryja dziecieniu głosem od radości stłumionym: — Bóg nie chce naszej zguby!

Nadzieja przywróciła nieco sił dziewczynce, złożyła rączki, zwróciła oczy ku ziemi której rysy coraz wyraźniej widać było i w téj postawie, z przetwartemi usty czekała ocalenia.

Za każdym poruszeniem przechylał się statek, za każdym przechyleniem czerpała się weń woda, zimny pot płynął po czole Maryi, — utonąć u brzegu byłoby okropnie!

— Umiesz ty pływać Maryjo? — zapytała Sara.

— Nie!

— Nemrod! — zawołała przemytniczka.

Pies powstał z ławki na której się od doby nieruchomie prawie przeciągał, i z podziwieniem poglądał, czegooby od niego żądano? — Sara tymczasem darła chustkę wełnianą, którą dotąd miała na szyi, i długie z nićj pasy wiązała jeden do drugiego.

— Co chcesz czynić? — spytała Maryja.

— Przywiązać dziecie do grzbietu Nemroda;

widzisz, że w półkwadrans statek zatonię; — pies więc ocali dziecie, a ja ciebie.

— Na to nie pozwolę! ty weź Emmę Saro! ona tu jedna cierpi bez własnej winy. Ja się uchwyćę za obrożę Nemroda, a jeżeli on dopłynie, i ja nie utonę!

— Więc zginiemy razem; — bo ciebie ratować ja tylko mam prawo! — odrzekła z dzikiem postanowieniem Sara, i założyła ręce na pierśiach; ale wnet ujawszy Emmę, umieściła ją na grzbiecie Nemroda, długim pasem obwiązała ich mocno oboje, drobne rączki przytwierdziła do skórzanéj obroży, a potém chwyciwszy sznur, który się był od żaglu przy maszcie pozostał, zarzuciła go szybko za pas Maryi, związała końce jego i przelożywszy przez swoje ramiona, z tkliwym wyrazem patrząc na przyjaciółkę, rzekła:

— Uściśnij mnie Maryjo! bo nawet ocalić ciebie, nie śmiem bez zezwolenia.

Maryja widząc, że opór byłby daremny, objęła z uczuciem wdzięczności i niechęci szyję przemytniczki, która w mgnieniu oka rzucając się z bacika, silnemi jeszcze ramiony poczęła spokojne morze rozpierać.

— A Emma! Emma! — krzyknęła Maryja.

Tuż obok niej ukazała się kosmata ogromna głowa Nemroda płynącego prędkiej od Sary, i bez zmoczenia prawie unoszącego omdlałe dziecko.

W pół godziny potem, żeglarki uczyły pod stopami miałki piasek wybrzeża. Nemrod zmęczony rozciągał się w cieniu skały chytając rozwartą paszczą powietrze, a orzeźwiona Emma głaszcząc go słabą rączką płakała razem z głodu i radości.



ŻEGLARKI UCZYŁY POD STOPAMI MIAŁKI PIASEK WYBRZEŻA.

XVII.

PUSTE WYBRZEŻE.

Po chwilowym spoczynku, wygnanki ciekawe i niespokojne poczęły się rozpatrywać po téj ziemi, która ich od tak już bliskiej uchroniła zguby. W miejscu ich wylądowania wybrzeże zwolna pochylało się ku morzu, lecz na prawo i na lewo skały wysoko i groźnie sterczące, broniły przystępu falom rozbijającym się z szumem o ich stopy; niezbyt daleko od brzegu wznosiły się kępiasto rozmaite krzewy, dalej, coraz gęstsze zarośla, a nakoniec wysokie drzewa zamykały z czwartej strony widnokrąg.

W rozpadlinach skał czepiały się dziko winne latorośle, dojrzałe ich grona zaspokoili nieco głód i pragnienie ocalonych, wzmocniły siłę i oży-

wiły ich odwagę, Nemrod zaś nie ciekawy smaku owoców raczył się ślimakami, których mnóstwo leżało na piasku, i wkrótce wszysej rzeźwiejsi, puscili się na dokładniejsze odkrycia.

Sara wdarła się najprzód na najwyższą nadmorską skałę, chcąc z wysokości zbadać okolice; lecz próżno wyteżała ucho, próżno siliła wzrok, i przed blaskiem słońca przysłaniała oczy rękami, jak daleko dojrzeć mogła, wszędzie tylko zielone drzew szczyty chwiała się przed nią, nigdzie ani wieży, ani dachu, ani najmniejszej wskazówki ludzkiego mieszkania dostrzedz nie było można. — Od strony morza ani śladu okrętu, tylko skołatany bacik którym tyle drogi odbyły, kołysał się blisko brzegu. Podróżne nasze zwróciły się zatem w przeciwną stronę; — postępowały zwolna uważając położenie miejsca; w coraz większym oddaleniu od morza ukazywały się krzewy, drzewa mało lub wcale im nieznanne; drzewa te coraz bliżej siebie, coraz gęściej zarastały ziemię, nakoniec w rozliczne pozbierane grupy, tworzyły las ogromny; — wszedłszy weń, dziewczęta utwierdziły się w mniemaniu, iż w pobliżu nie musiało być ludzi, bo kołyszące się po gałęziach małpy,

papugi, wiewiórki nie uciekały za ich zbliżeniem, lecz owszem przypatrywały się im ciekawie. Po zwiedzeniu części lasu w rozmaitych kierunkach, po rozpoznaniu bliższych zarośli, zmęczone wygnanki siadły pod cieniem palmy, i naradzać się poeżyły, co czynić dalej.

Los ich w wielkiej jeszcze był niepewności; — do brzegu co chwila mógł przybić okręt lub inny jaki statek; — za lasem mogli mieszkać ludzie; — może nawet niedaleko była jaka wieś lub miasto, może téż osada dzikich krajowców. — Na tę myśl jeżyły się trwogą włosy na ich głowach, bo słyssały wielokrotnie, jak srodze obchodzili się Australczycy z białymi, ile razy ich w ręce swoje dostali. Skaczące w gęstwinie zwierzęta, rozlicznych a ledwie dojrzanych kształtów, przestraszały je równie, — mogły to być szakale, tygrysy, lub inne drapieżne istoty, a dziwne głosy rozlegające się dokoła powiększały niespokojność biednych dziewcząt. — Trzeba było pomyśleć o zapewnieniu sobie tymczasowego przynajmniej schronienia, i jakiegokolwiek żywności. — W lesie mnóstwo było kokosów, palm daktylowych, owoce ich rosły wysoko, znużonym wygnankom niepodobna

byłoby ich dostać, lecz zwinne małpy zrywając daktyle całemi garściami, upuszczały ich tyle, że wszyscy nasycili się dostatecznie. — Wieczór się zbliżał, gwar ptaków i zwierząt uciszał się powoli, magnolje o błyszczących liściach i białym kwiecie słodszy wydawały zapach; olbrzymie *cazuariny* lekkim poruszane wiatrem powiewały gałęzmi, z których zamiast liści zwieszały się długie zielone nitki, do grzyw końskich z kształtu podobne; słońce ledwie już gdzieniegdzie migało pomiędzy liśćmi a jeszcze Maryja i Sara namyślały się, na któreby się drzewo schronić, by w nocy ujsć zwierząt drapieżnych napaści, jeszcze Emma trwożnie pogładając po lesie wołała płaczliwie:

— Moje łóżeczko! ach kiedyż ja na mojem łóżeczku spać będę!

W końcu, Sara wpatrująca się długo w jedną stronę powstała, nazbierała suchych gałęzi i zbliżyła się ku miejscu, gdzie wielolistne *Zamje* gęste tworzyły zarośle. — Krzewy te których liście grube, kolezate, na półtora blisko łokcia duże tworzyły mocną, do ziemi dostającą ścianę, zdawały się jój doskonałym schronieniem; jakoż

podnosząc suchemi gałęzmi liście, udało się Sarze zajrzeć w głąb gęstwiny, i przekonać się, że pomiędzy drzewami można się było bezpiecznie umieścić. Wtedy wszystkie trzy poczęły zrywać bananowe liście, poowijały niemi twarze, ręce i szyje, by się od ostrych kolców zasłonić, i wsunęły się w zielony namiot, a wyjawszy z ziemi gałęzie wstrzymujące podniesione liście, pokładły się na mehu i otoczone świeżą wonną a przecież nieprzebytą ścianą, pierwszy raz od trzech dni zasnęły spokojnie.

Nazajutrz, słońce wysoko się wzniosło, nim wygnanki otworzyły oczy; — wyszły z swojego schronienia, i po modlitwie, pierwszą ich myślą było zwiedzić brzeg morza, bo łudziły się zawsze nadzieją pomocy z tamtej strony, lecz i dziś próżno patrzyły w przestrzenie, tylko modre fale i modre nieba zalegały widnokrag, a na brzegu przypływem morza wpędzony osiadł zgruchotany bacik. — Wybrały z niego co się wzięść dało, podróżną torbę przesiąkniętą wodą, kobierzec, płótno, ławkę pozostała, gwoździe które kamieniami wybić było można, i cały swój majątek uniosły do lasu.

Powoli, rozpatrzyły się w nowej swojej siedzibie, za pomocą kłębka nici znalezionej w torbie, puściły się na kilkaset sążni w głąb boru; lecz coraz gęstsze drzewa, nieprzebyte zarośla, dzikie samotnie przekonały je, że próżno szukały ludzi; że ich ręka nie dotknęła tu jeszcze dzieł boskich.

Nie widać też było i zwierząt drapieżnych śladu; skoczne wiewiórki, przekorne małpy, wrzaskliwe papugi tworzyły większą część mieszkalców lasu, czasem jednak przeskoczył długonogi kanguru, czasem Nemrod wyciągnął tłustego susła z jamy, czasem orzeł szerokimi skrzydły przesybował po nad drzewami, i po kilkodniowym doświadczeniu przekonała się Maryja i Sara, że z téj strony żadne im nie groziło niebezpieczeństwo. — Trochę ku północy jezioro mogło im dostarczać słodkiej wody, kamienie zebrane nad brzegiem morza posłużyły do otworzenia kokosowych orzechów, których mleczny sok i owoc mięsisty razem za napój i pokarm używać było można; słońce dogrzewało mocno, tak że przed promieniami jego w cień drzew chronić się trzeba było. Wygnanki nie doznawały wpra-

wdzie fizycznych cierpień, lecz za każdym zwiedzeniem wybrzeża, za każdym w głąb lasu spojrzaniem przekonywały się mocniej, że w téj samotni, oddzielonej od świata, od ludzi, przyjdzie im przeżyć czas długi, a może i całe życie.

Z początku myśl ta straszną im była. Emma wyrzekała głośno, Maryja pośpiechowi swemu w ucieczce przypisując wszystko co zaszło dotąd, dręczyła się myślą, że z jej winy świat znikł z przed oczu sieroty, że dziedziczka dostatków i godności, żyć będzie musiała jak dzikie dziecko natury; Sara tylko chociaż trochę skłopotana o przyszłość, pamiętna ściśnienia w jakim w ostatnich czasach zostawała, lekko stapała po mehu zielonym i nie traciła odwagi.

— Kiedy tu już żyć mamy, rzekła pewnego rana do Maryi, postarajmyż się o mieszkanie, bo nie bardzo przyjemnie i bezpiecznie wcisnąć się co dzień jak węże pod kolezaste zamje.

Maryja nie dbała o własną wygodę, pragnęła jednak zapewnić Emmie wszelkie przyjemności, jakie w jej mocy być mogły; zaczęły zatem szukać stósownego miejsca i wkrótce olbrzymi *cykas* zwrócił ich uwagę. Drzewo to ogromne stało

na wzgórkach, zapuszczając korzenie głęboko w ziemię z jednej strony, lecz z drugiej, potok z ulownego deszczu powstały musiał je podmyć przed laty, bo korzenie cienkie i długie ogołoczone z ziemi zbiegały od pnia jak liny okrętowe i tkwiąc mocno u stóp wzgórek tworzyły niejako zarysy namiotu, mogące mieć u spodu blisko ośm łokci przestrzeni i wybiegającego w górę w kształcie ostrego dachu. — Przekonawszy się, że *cykas* dość mocno jeszcze stoi, i że nawet w razie wichru lub burzy otoczony wysokimi i rozłożystymi drzewami ledwieby się mógł pochylić, wagnianki poczęły budować sobie domek. — Oczyszczyły korzenie z piasku i ziemi, odwaliły kamienie co się były w wypróżnienie zatoczyły, wyrównały nieco obsypującą się ścianę pagórka, i nabierawszy bananowych liści, układając je od pnia drzewa aż do ziemi na rozpiętych korzeniach, utworzyły kształtny i chłodny namiocik; rozciągnęły kobierzec na ziemi; a z ogromnego mehu usłane łóżka po kilku dniach pracy używały robotnicom tak miłego spoczynku, że nawet Emma za swoim łóżeczkiem wdychać przestała.

Te kilka dni które na urządzeniu mieszkania swego spędziły dały im poznać, że praca i zajęcie znacznieby skrócić mogły czas samotności, ale cóż robić w lesie, bez narzędzi, bez naczyń, bez ognia? — Prawda, że codziennie trzeba było zmieniać pokrycie dachu, bo bananowe liście więdły w przeciagu doby; trzeba było gonić i straszyć małpy, by od nich wyłudzić część zbioru potrzebnego na pożywienie. Maryja czytywała czasem wyjątki z pisma świętego, które lubo zamoczone w torbie, po starannem wysuszeniu mogło jeszcze choć w części służyć do czytania, lecz to wszystko zbyt małe było zajęcie by niem zapełnić długie jasne dni, by odegnać dręczące i smutne myśli.

Odzienie ich morską wodą i ciągłym używaniem strawione potrzebowało naprawy, obuwie zdarło się zupełnie; jakże temu zaradzić?.. Potrzeba jest matką przemysłu i wynalazków; po długim namyśle, Sara odłamała kilka koleców zamji i ostremi ich końcami przebijając grubszą osadę sporządziła kilka igieł; — nie było nici — Maryja poświęciła pas swój skórzany, który na pamiątkę dobrej lady Wilton ciągle nosiła na

sukni, i wyciągając gruby jedwab z tkanej podszewki, chciała go użyć do pozczepiania podartej odzieży. Za oddarciem kilku nitek drukowane papiery uderzyły jój oczy, były to pieniądze, które dawna jój pani przezorna o potrzeby wygnanki zaszyć kazała, a o których matka stroskana utratą lubego dziecięcia zapomniała wspomnieć przy pożegnaniu. W papierach tych było przeszło sto funtów szterlingów. Maryja była zatem bogatsza niż kiedykolwiek zamarzyć sobie mogła, ale na cóż jój się teraz pieniądze przydadzą? teraz tylko pracy i cierpliwości potrzeba. — Odrzuciła pas od siebie i zadumała się smutnie, jak zmienną jest wartość rzeczy, i jak to tylko prawdziwie cenić należy, co w każdym miejscu, w każdym czasie pożytecznym być może. — Emma poczęła się bawić kolorowemi papierkami, a Sara nadbiegłszy z lasu i dowiedziawszy się o znalezionym skarbie, rzekła z pogardą:

— W Sydnėj byłoby się to może przydało, ale tu!...

I rzuciła silnie pas skórzany o ziemię; — stalowa sprzączka trafiła na kamień i tysiące iskier posypało się z tego starcia.

Maryja zachwycona padła na kolana dziękując Bogu za nowe odkrycie mogące uprzyjemnić im pobyt w tój samotni, Emma porzuciła papiery i uchwyciwszy pas cieszyła się krzesząc iskry z kamienia, a tymczasem ręcza Sara zbierała pod drzewami suche mechy, składała w jeden stos, dorzucała suche gałęzie, i niezadługo jasny, szeroki płomień błysnął przed oczyma ucieszonych wygnanek; niezadługo w gorącym popiele piekły się jaja ptaków budujących gniazda po niskich krzewach, bo na wysokie drzewa dostać się nie było jeszcze sposobu.

Odtąd, życie samotnie poczęło się w pewien układać porządek; — pamiętając dzień w którym opuściły Sydnėj, łatwo im było dojść rachuby czasu, który sobie dla pamięci układaniem kamieni znaczyły. — Niedziele oznaczały większe kamienie i w tym dniu, tylko modlitwa i pobożne czytanie czas im zajmowało, — w dni zwyczajne po złożeniu dzięków Stwórcy za doznane dobrodziejstwa, po przygotowaniu posiłku, rozpoczynała się nauka: Maryja uczyła swoje towarzyski czytać, objaśniała w religii, przypominała sobie i udzielała im wiadomości, których przez

pobyt w zamku uczonego lorda zaczerpnąć mogła, a Sara i Emma widząc ją o tyle wyższą od siebie, otaczały ją wdzięcznością, szacunkiem, uważały ją za przewodniczkę ledwie że nie za matkę swoją.

Sara więcj poziomym oddana przedmiotom, zwawszą i szczęśliwszą za to była w odkrywaniu coraz to nowych środków wygodniejszego życia; — ona to rozpaliwszy ogień około pnia wysokiego kokosu, tak nim zręcznie kierować umiała, że płomień strawiwszy połowę osady ułatwił wiatrom wywrócenie drzewa w ten sposób, iż opierając się szczytem o sąsiady, stało się pochyłym mostem, po którym wygnanki mogły dojść do wierzchołków palm daktylowych, zrywać ich owoc bez małpiej pomocy, i zacpatrzeć się w liście grube, giętkie, trwałością naśladowujące łyko lipowe, połyskiem i barwą mile wpadające w oko. — Temi liśćmi pokryła dach i ściany mieszkania, pozbijała je do siebie kolcami zamji, i tym sposobem zmniejszyła codzienną pracę, bo palmowe liście przez kilka tygodni trwać mogły nieprzpuszczając słońca i wilgoci. — Wychodząc codzień nad morze, zbierała muszle różnego kształtu,

używając większych do gotowania jaj i grzybów, mniejszemi starannie wykładając ścianę mieszkania, by tym sposobem Maryję i Emmę od osuwającego się piasku zabezpieczyć — wybierała jaja z gniazd, znosiła suche gałęzie, szukała ostrych kamyków, któreby w potrzebie miejsce narzędzi zastąpić mogły.

Emma prócz modlitwy i nauki, na zabawie trawiła czas cały; już to igrała z Nemrodem, już wiała wieńce z rozlicznych kwiatów co w lesie rosły obficie, już goniła za motylami, poprawiała swoje odzienie, stroiła się w kwiaty i liście, rozczesywała jasne włosy drobnymi palcami, a ciągle się uchylając między krzewami, najczęścij użyteczną jaką odkryła roślinę.

Nemrod także nie próżnował; mięsożerny, starał się o pożywienie dla siebie, zbierał ślimaki nad morzem, krety i szczury w lesie, czasem paniem swoim przyniósł schwytanego bezlotka, czasem kaczkę z jeziora, a ciągłą obecnością, szczerkaniem, wyszczerzaniem groźnych zębów oddalał od mieszkania zbytnią poufałość małp, która z czasem natrętą a nawet szkodliwą staćby się mogła.

Tak więc czas płynął spokojnie, powoli; wygnanki przyzwyczały się coraz mocniej do swego położenia, przywiązały się do téj niezmiernéj samotni co całe ich życie pochłonać miała, do téj uroczystéj ciszy, którój nędzne zabiegi człowieka nie przerywały jeszcze, która co chwila pobudzała w nich większą cześć, wdzięczność, uwielbienie dla Boga. — Jednak codzien jeszcze chodziły na brzeg morza, codzien wyglądały czy żagiel jaki nie zabieleje im zdala na fali, codzien wstępowały na skały, na drzewa, śledząc czy czasem słup dymu nie wskaże im ludzkiego sąsiedztwa? próżno! — między niebem i ziemią tylko ich trzy serca biły, a to przekonanie wzrastając z każdą chwilą pomnażało wspólne przywiązanie, silniejszym ich z sobą spajało ogniwem.

XVIII.

PRZEMYSŁ.

Raz wszedłszy na drogę odkryć i wynalazków młode pustelnice postępowały po niej olbrzymim krokiem, — pamiętając piękny len szkocki, szukały długo podobnej rośliny i lubo nie zupełnie taka, znalazły przecież; — *Phormium tenax* (len nowozelandzki) roślina o długich liściach podobnych do liści kosaćca, dostarczyła im nici; — liście te giętkie, włókniste, dały się łatwo drzeć w waziutkie paseczki, a te wyschłe i wytarte mocno, nabierały białego koloru i zupełnie były podobne do nicianych sznureczków — temi niemi troskliwa Maryja zszywała suknie dopóki było można: lecz zszarżane długiém używaniem mimo wszelkich starań opuszczały je widocznie, a tym-

czasem zbliżający się czerwiec i z nim coraz częstsze zimna i deszcze, wskazywały konieczną potrzebę obmyślenia trwalszego odzienia nad liście bananowe, których w ostateczności użyć zamysłała.

Chociaż zbieranie owoców było wyłącznie Sary zatrudnieniem, Maryja ciekawa poznać własności drzew różnych i ich liści, weszła pewnego ranka po nachylonym kokosie między palmy, i pnąc się po gałęziach zbierała nieśmiałą ręką daktyle, zaglądała ciekawie w gniazdka wiszące między liśćmi; — nagle nieznanym przedmiot uderzył jej oczy, u wierzchołka palmy, której liście różniły się cokolwiek od zwyczajnego gatunku, zamiast owoców, zwieszały się worki ciemnej barwy, miękkie, włókniste, na półtora blisko łokcia długie; — miła myśl zabłysła Maryi: — gdyby z tego można zrobić odzienie? i wnet odrywa jeden z takich worków, przynosi go do chatki, ogląda, dotyka i poznaje, że wewnątrz mieszczą się owoce; — aby je wydostać, Maryja przedziera worek ostrym kamieniem, przekonywa się, że wytarty mocno staje się miękkim, gładkim, do wełniastej materyi podobnym, że go równo

rozeciągnąć i na dwie części rozkroić można. — Szczęśliwa swoim odkryciem w tajemnicy je zachowuje; a ile razy Sara i Emma oddała się od palmowego lasku, ona spieszy po kokosowym moście, zrywa pochetki ile zabrać może i ukrywa starannie; — zebrawszy ich dostatek, namawia Emmę, aby niby na zapas przygotowała znaczną ilość nici lnianych a sama wydobywszy owoc z pochetek wyciera je mocno płaskim kamieniem, ze zbioru Sary wybiera ostrą muszlę, i porozrzynawszy nowo odkrytą tkaninę, zajmuje się przyrządzeniem ubiorów.

Przez cały dzień następny Maryja szyła; — przypomniawszy sobie upodobanie z jakim w Wilton-hallu rozliczne wymyślała i naśladowała stroje, chciała nie tylko wygodne lecz i kształtne utworzyć odzienie; Emma i Sara nie przeszkadzały jej bynajmniej, każda bowiem w innej stronie zajęta była, tylko od czasu do czasu odzywając się kolejno, dawały sobie znać, że są blisko siebie.

Zbliżył się wieczór, Sara w cieniu ogromnej akacyi zastawiła stół upleciony z bambusowej trzciny, nakryła go palmowymi liśćmi, przysunęła trzy kamienie w miejsce krzesel i podała pieczo-

nego bezłotka na wielkiej płaskiej muszli. W trzcinowym koszyku daktyle i winne grona mile wzrok nęciły, świeża woda u bliskiego źródła czerpana stała w kokosowych łupinach, muszle okrągłe służyły za talerze, podłużne przytwierdzone do drewnianych trzonek zastępowały łyżki, ostre wzajem o siebie wygładzone kamyki w doskonałe zamieniły się noże, a widelców dostarczyły kolce *zamji*.

Przyrządwszy to wszystko Sara czekała przez chwilę, a widząc, że nikt nie spieszy do stołu, poczęła wołać Maryi i Emmy.

— Idę, idę — zawołała Emma wybiegając z drzewa, i ukrywając coś w podartym rękawie od sukni. — Ale — gdzież Maryja? — cóżeście wy dziś obie robiły, że was prawie cały dzień nie widziałam.

— O! to tajemnica, przygotowałam niespodziankę dla Maryi.

— Doprawdy? — patrz! to jedną myśl miałyśmy obiedwie.

— Ale cóżeś ty Saro wynalazła?

— Pójdź zobacz!

Poprowadziła dziewczynkę w zarośle, i poka-



Z ZADZIWIENIEM UJRZAŁY MARYĘ, PRZYBRANĄ W NOWĄ CIĘ
MNĄ SUKNIE.

4

zała parę ślicznych sandałów stojących przy pniu wywróconego drzewa; ziemia zasłana była bananowemi liśćmi, i tuż obok w ogromnej muszli czysta woda oczekiwała gościa, względem którego w tém miłym ustroniu Sara chciała starożytny zwyczaj gościnności wykonać.

— Śliczne! śliczne! — wołała Emma oglądając obuwie składające się z zgrabnej podeszewki wykrojonej kamiennym nożem z wewnętrznej części kokosowej skorupy, do której przytwierdzone białe pletnie z *tenaxu* tworzyły sławne w starożytności koturny.

— Doskonała myśl! powtarzała Emma; — widzę, że i mój dar tu umieścić można.

I na pniu złożyła grzebień własną ręką wyrobiony, z wspomnionej dopiero kokosowej skorupy, w której wążutki pasek starannie i równo powbijala kolce *zamji* wygładzone i zaokrąglone kamykiem.

Głos Maryi wywołał je ku stołowi, ale z jakimże zadziwieniem ujrzały ją przybraną w nową ciemną suknię, której fałdy ściśnięte białym sznurem spływały do stóp, a szerokie rękawy podpięte takimże sznurem nadawały jej jakiś niezwy-

kły powab i zręczność. Długo trwały badania i podziwienie, dłużej jeszcze radość, bo oprócz sukien w które Sara i Emma tegoż jeszcze wieczora się ubrały, odkryta materja mogła im do rozmaitego służyć użytku; — nakoniec zasiadły do wieczerzy, i ani wątpić można, że po dniu tak spędzonym, miły nastąpił spoczynek.

Tak więc wszystkie trzy ubiegały się o pomnożenie przyjemności i wygody pożycia, a przy chęci i dowcipie codzien prawie nowy jakiś wynalazek przybywał w pomoc wygnankom.

Z palmowych liści plotły maty, a wypełniwszy je mchem i suchemi liśćmi wyścielały wybornemi poduszkami łóżka i krzesła, rozciągały zamiast kobierców na ziemi: zawieszały je dokoła swój chatki, i tym sposobem utworzyły sobie na dżdży-stą porę ciche i wygodne schronienie.

W szczęśliwym klimacie, pod który je morze wyrzuciło, nie było zimy; czerwiec tylko i lipiec wilgotny czasem nawet wielkimi ulewami straszące, lecz często pogodnemi przeplatane dniami, najprzykrzejszą porę roku stanowiły. — Uzbroiwszy się przeciw niej o ile było można, wygnanki przebyły te parę miesięcy mało wychodząc z chatki,

lecz za to pracowały nad przyrządzeniem odzieży, przydatnej na odmianę, kręciły nici, obrabiały muszle stosownie do różnych celów; już to dobierając je równo i wierząc małe otworki, spajały dwie części niemi z *tenaxu* i tworzyły pudełka; już ostrząc o kamienie sporządzały ostre delikatne nożyki, do krajania palmowych pochevek. — Przemyślna i pracowita Sara, doskonaliła gospodarskie narzędzia: — z bambusowej trzciny plotła rósztę, strugała różny, wyrabiała koszyki i przetaki, dobierała różne gatunki gliny i próbowała lepić z niej naczynia, bo domową ręczną pracę od samego początku przyjęła na siebie, i oddawała się jój z upodobaniem, z zapałem. — Czynna, silna, szydząc z zimna i niepogody, nieraz mimo próśb i przełożeń Maryi wybiegała w głąb lasu, wybierała jaja z gniazd papugom, dzikim kaczkom i łabędziom przebywającym nad brzegami jezior, chwytając zmokłe kuropatwy, łowiła w sidła niciane drobniejsze ptastwo. — Nemrod wierny towarzysz jój trudów znosił żółwie, gonił wodne kury, walczył z bezłotkami i zwyciężał je, a ile razy przyniósł dziwnego tego ptaka, Sara obsypowała go pochwałami, nie za-

łując w nagrodę części zdobyczy; — bo też bezlotek pomimo niezgrabnej postaci, króciuchnych skrzydeł, i śmiesznie podskakującego chodu, rozliczne przynosił korzyści — mięso delikatne, upieczone nad żarem, przyprawione pistacjami i cytrynowym sokiem, doskonałym było pokarmem, tłustość nalana w kokosową łupinę wieczorami oświecała maleńką chatkę, pierze poskubane starannie dodawały miękkości postaniu, a skóra gruba, miękka, wysuszona i wygładzona kamieniem rozmaicie używana być mogła.

Wesoła, pieszczotna i trochę próżna Emma szczęśliwa z tysiącnych odkryć, przestała żałować wygód domowych, polubiła czynne i urozmaicone życie na puszczy, przywiązała się do tkliwej Maryi, do żwawej, dogadzającej jój we wszystkim Sary. Z całej przeszłości tylko obraz wuja pozostał jój żywo w pamięci, a przy każdym odkryciu, żałowała, że on tak pięknych i dziwnych rzeczy widzieć nie może. — Pragnęła, by kiedy przybył do ich kraju (tak nazywała miejsce swego pobytu), lecz o dostaniu się do Anglii nie myślała wcale; bała się morza, ostatnia żegluga zraziła ją od podróży. — Bujając

swobodnie jak ptaszek, rozwijała się pod wpływem pogodnego nieba; dziecinna, nie lubiła zamięcia wymagającego ciągłej usilności, ale jak motyl z kwiatka na kwiatek, tak ona od jednego do drugiego przeskakując przedmiotu, starała się wszystko ozdobić, upięknąć, słowem była to angielska wykwintnisia, szukająca wszędzie nietylko pożytku lecz i wytworności.

Kolorowe gałązki i drobne muszelki dostarczały jój materyału na bransolety i naszyjniki, z nasion rozmaitych roślin nawleczonych w kształcie perełek robiła śliczne siatki na głowę, — w maty palmowe wplatała drobne kwiateczki, by im ładniejszy nadać pozór; najpiękniejsze rośliny zbierała na wieńce dla siebie i swych towarzyszek, z piór różnobarwnych które obficie znajdowała po lesie, składała wachlarze, słowem bawiła się przez dzień cały zdobiąc wszystko co jój pod oko podpadało, stosując wszystko nie do potrzeby, bo te Sara i Maryja zaspokajały, lecz do chwilowej przyjemności.

Myśląc Maryja z niespokojnością patrzyła w przyszłość. — Umiała ona być niebu wdzięczną za doznane dobrodziejstwa, umiała przesta-

wać na swoim położeniu, i zwyciężać tęsknotę za rodzinną ziemią, lecz drżała o swoje towarzyski; lękała się, aby czynna Sara znudzona jednostajnością życia, samotnością, ciszą panującą dokoła nie zapragnęła wrócić do świata, do ludzi — żeby Emmy umysł rozwijając się coraz mocniej nie wydarł się za ciasne krańce wybrzeża, nie zatęsknił za rodziną, nie oburzył się na zbyt szczupły zakres wrażeń i czynów. — Dlatego wynajdywała coraz nowe potrzeby, starała się utrzymać je w ciągłym ruchu, a nade wszystko wykształcić ich dusze; natchnąć ufnością w dobroć Boga, zdaniem się na Jego wolę, i uwielbieniem dla niezmierzonej mądrości Stwórcy. — W czytaniu Pisma starego zakonu czerpała wiadomości, zajmujące żywo wyobraźnię, obrazy wielkości i mocy Najwyższego; — w Ewangeliu poita się natchnieniem, przejmowała się niezmierną miłością Zbawiciela, posłuszeństwem dla Jego nauki, — w dziejach apostołskich uwielbiając odwagę pierwszych uczniów Chrystusa, rosła w siłę i męztwo, nabierała wymowy i daru przekonywania, a kiedy towarzyszkom swoim poczęła mówić o Bogu, pobożność jej i zapał przechodziły

w ich dusze, podnosiły je ku niebu i szczerą wdzięczność, serdeczną ufność budziły.

— O! — mawiała Maryja: — niedocieczone są sprawy Boga. — Wiemyż dlaczego tu, a nie gdzieindziej przybił skołatany nasz statek?

— Abyśmy za doznane cierpienia spoczęły swobodnie; — odpowiadała Sara.

— Może też dlatego — mówiła Emma, — żeby te śliczne kwiaty nie wiodły bez pożytku, żeby ptaszki i motyle nie ginęły niewidziane od ludzi.

— Albo — kończyła Maryja: — żeby w tej samotni wzniosła się z serc naszych chwała Najwyższego!

I tak ważnym celem przejęte klękały do modlitw, a zachodzące słońce złotem światłem oblewając ich twarze, zdawało się poświadczać wyrazy młodej mistrzyni.

W czas jakiś po wylądowaniu wygnanek, małeńka ich osada miłą przybrała postać; nie im prawie nie brakowało do wygodnego życia, a nawet powoli zbytek weiskać się w nie poczęła.

Wiedząc z doświadczenia, że w czasie dżdży-

stój pory woda, potokami spływając z góry, mogła zamoczyć, a nawet zniszczyć ich mieszkanie, zabezpieczyły się od niej wzniesieniem w pobliżu tamy, ułożonej z kamieni i chrustu, i obsypanej piaskiem i ziemią, — ciężka to była praca lecz powoli, skutecznie ją drobne ręce kobiece, i od-tąd choć ulewa szumiała po drzewach, w maleńkiej chatce cicho i spokojnie było. — Grobla ta zstępując z pagórka w lekkim zagięciu, tworzyła przed mieszkaniem dziedzińczyk suchy, czysty, wśród którego wykonywały się wszystkie gospodarskie prace. — Tu ulepiony z gliny i kamieni stał kominiek, na którym Sara nie tylko zdrowe lecz wytworne przyrządzała potrawy; — dalej pleciona z gałęzi, osłonięta palmową matą budka zawierała rozmaite zapasy domowe, naczynia i drobniejsze sprzęty; — dalej jeszcze, kawałek gruntu otoczony sztachetą z trzeiny, pokryty chrustem zajmował miejsce kurnika, gdzie na czas niepogody, przezorna gospodyni hodowała bezlotki i kuropatwy; — przy wnijsieciu chatki stał domek wiernego stróża Nemroda, wysłany mchem zielonym, którym łagodne zwierzę dzieliło się chętnie z młodą kangurem, schwytanym w pierw-

szych dniach życia przez Sarę, a pieszczonym młodą Emmą wychowawcem.

Nad brzegiem morza wygnanki miały także osadę; — tam odbywało się warzenie soli, o tyle tylko zadające im pracy, ile potrzeba by pewną ilość płytkich muszli morską wodą napełnić, która potem wystawiona na mocne działanie słońca parowała i ulatniała się, zostawiając tylko zeszkłone cząstki solne; — tam przyparty do skał rósł olbrzymi warek, którego liście osadzone na kiju, przez cały dzień za parasole służyć mogły; — tam nakoniec poławiano atramentowce w których wnętrzu zawarty sok czarny zastępował miejsce atramentu — i ważniejsze jeszcze pożytki przynoszące, szynki morskie (pinna marina). — Wygnanki winne były Nemrodowi to odkrycie; — on bowiem zbierając sobie ślimaki w obecności Sary, wzbudził jej ciekawość uporezywem obgryzaniem i lizaniem nadmorskiej skały, zbliżyła się by poznać, co go tak nęciło, i spostrzegła muszlę wielkości dziecięcej ręki, przyczepioną do skalistej ściany miękkim, zielonym jedwabiem, wychodzącym z jej pyszczka. — Pochwyliła ją skrzętnie, a po niewielu doświadczeniach okazało się, że

jedwab ten dał się z łatwością wyrabiać, i do rozlicznych zastosowań użytków.

Nazbierawszy pewną ilość muszli, Sara kładła je na mocno rozgrzanym kominie, po zupełnem ich usnięciu odejmowała jedwab, który wysuszywszy należycie, czesała z pomocą Emmy grzebieniami z zamji: a potem na przemiany wszystkie trzy przędły go w nitki, robiły siatki do chwytania ptastwa i łowienia ryb w jezioru, a nawet, urządziwszy sobie po wielu próbach z prostej i cienkiej trzciny krosienka, tkwały na kształt płótna w niewielkie kawałki, które potem pozszywane starannie, zastępowały bieliznę, i służyły do ozdabiania mieszkania: — barwa jedwabiu złocista lub blado zielona wdzięcznie odbijała od ciemnych sukien z palmowej tkanki; a Emma korzystając ze sposobności zdobyła je wyszywając w rozliczne wzory ¹⁾).

Codzień prawie przybywało wgnankom doświadczenia i wiadomości; — botanika szczególnie szerokie im do badań otwierała pole; —

¹⁾ Rekawiczki wyrobione z jedwabiu szynki morskiej, widzieć można w warszawskim gabinecie zoologicznym.

palmy wszelkiego gatunku stanowiły główne źródło ich dobrego bytu, — owoce palmy chlebowej, sok winodajnej, mleko kokosowej, liście daktylowej, tkanka torebkowej, wszystko to składało się na uprzyjemnienie im życia; — gumm wypływających z drzew używały na potrzebne i zbytekowe przedmioty, wonne krzewy i zioła przesadzały w sąsiedztwo swego mieszkania, siały dokoła rozmaite kwiaty, i każdy nowo odkryty skarb przyswajały sobie, jako prawą własność.

Po kilkoletnim pobycie na pustym wybrzeżu nie prawie samotnicom naszym nie pozostawało do życzenia. — Dni upływały im w pracy, wieczory na rozmowie, czytaniu lub śpiewie, krótkie noce w spokojnym pokrępiającym śnie, który zwykle udziałem sprawiedliwych i ufających w Boga bywa.

Wejdzmy na chwilę do szczupłego domku, który nieznacznie zmienił się w wytworny salonik, i spojrzymy jak hojnie natura zaspokaja wymysły człowieka, byle tylko po jej dary nie lenił się wyciągnąć ręki.

Deszcz leje na dworze, szumi po gałęziach, potokiem spływa około tamy, ale w folwarczku

(tak Sara mieszkanie nazywała), nikt się o to nie troszczy. — Ptastwo śpi pod chruścianą zasłoną, Nemrod zakopał się w mchu i suchych liściach, a panie jego w miłym swoim schronieniu zapomniały, że niepogody bywają na świecie.

Chatka wygnanek przez podebranie ziemi z pagórka, powiększyła się znacznie; posadzka w niej sucha, ozdobna, na piasku bowiem ułożono kamyki, poobtykano szczelnie mchem, a potem nazbierawszy gumm i żywic rozmaitych, roztopiono je w muszlach przy ogniu, i polano niemi ów bruk kamienny; w stygnącą polewę poukładano drobne muszle w rozliczne wzory, wygładzono taczając ostrożnie okrągłym kamieniem. Po zupełnym zastygnięciu, pustelnice ujrzały pod nogami swemi prześliczną mozaikę, która czysto utrzymana pyłu ani wilgoci nie dopuszczała. — Dokoła, od ziemi ścianka wzniesiona również z kamyków gummą oblanych strzegła raz obranego obwodu chatki, i wspierała osadę korzeni tworzących główne jój zarysy. — Od samego wierzchu aż do ziemi palmowe liście ułożone starannie, dozwalały ściekać deszczowej wodzie; a znany już wygnankom sprężnik, czyli gumma

elastyczna, wypływająca w postaci mlecznego soku figowca sprężnikowego, roztopiona przy ogniu, zmieszana z piaskiem i drobnymi patyczkami, a potem wylewana na dach cały, tworzyła pokrycie nieprzebyte tak dla wilgoci, jak i dla skwarnych promieni letniego słońca.

Wewnątrz, ściany wybite matami z palmowych liści nie dopuszczały chłodu, pochwki połączone w duże sztuki i poszyte w białe kraty pokrywały pletnie na kształt obicia, a u góry draperyje z zielonej jedwabnej tkanki, podpięte białymi sznurami z tenaksu, ozdobione zamiast bronzów błyszczącymi skrzydełkami motyli, mile wpadały w oko. Wielka sztuka palmowej tkanki podlana gummą sprężystą, i skórą bezłotków podszyta, zawieszona w miejscu drzwi, zasłaniała należycie wniście, a w tak opatrzonym domku, można było żartować ze słoty i ulewy.

Wieczorem trzy wygnanki siedziały w swojej salce, każda z nich na bambusowym krześle, wysłanem dokoła mehowemi poduszkami, w jedwabnych długich szatach, w krótszych lecz obszernych spathowych tunikach, w czarnych puszko-
wych pelerynach sporządzonych ze skórek łabę-

dziech; na nogach miały znane nam już sandałki, i jedwabne pończochy, roboty cierpliwój Maryi, a miękkie futro dziobaka rozciągnięte na posadze, od najłżejszego broniło je chłodu. Pomędzy niemi, stał z bambusu pleciony stolik, na którym kilka kawałków kory brzoźowej cieniutko dartej naśladowało doskonale wytworny nasz papier; piórka i pędzelki leżały tuż obok. W kałamarzu wyżłobionym z kawała przezroczystego kopalu, sepja czekała aż wprawna ręka zaczerpnie z jej głębi środka, do wynurzenia pomysłów młoděj głowy i uczuć tkliwego serca. — Sara przędła bisior na prostem wrzecionie, i z fureczeniem jego łączyła wesoły śpiew szkocki. Maryja na cienkich prątkach wykończała arcy-dzieło sztuki i zbytku — rękawiczki jedwabne! — a Emma zapatrując się na wytworne druki papierowych pieniędzy, gotowała się do pisania dziennika, którego cząstkę wkrótce czytać będziemy, a zwieszona od dachu jedwabna przejrzysta siatka rozpięta w sześciokąt patyczkami, zawierała dziesięciu *fulgorów* czyli latarników, których blask fosforyczny, łagodnie całą chatkę oświecał.

XIX.

DZIENNICZEK EMMY.

Poważniej niż zwykle zacznę zapewne dzisiejszy mój dziennik — pierwszy to dzień po świętach Bożego-Narodzenia, a dusza moja pełna jeszcze pobożnych myśli. — Całe dwa dni przepędziłyśmy na modlitwie, rozmyślaniu i rozmowie. — Pamiętam, że Maryja zawsze ściśle przestrzegała należytego przepędzania świąt; wzrosłam więc z przekonaniem, że dzień Bogu poświęcony nie w zwykły ziemski sposób przejść powinien. — Dziwnie to, że ja swobodnie używając życia, zarządzając czasem podług własnej woli pragnę nie dzieli, ale tak jest rzeczywiście. — W ciągu tygodnia, kiedy choć sama nic nie robię, patrzę na zatrudnienia Maryi i Sary; kiedy sobie pozwalam

nucie rozliczne śpiewki, kiedy się przekomarzam z znajomymi papugami, lub się pluszczę w jeziorze, tak jestem roztargnioną, tak pustą i wesołą, że myślą wyżej wznieść się nie mogę nad podziękowanie Stwórcy za tyle darów. — W niedzielę zupełnie co innego — we śnie jeszcze zdaje mi się, że słyszę odgłos dzwonów wzywający na modlitwę, odgłos który w uchu i pamięci mojej utkwiał od pierwszego dzieciństwa, który mi przypomnienia towarzyszek moich, bardziej jeszcze uprzytomniły — i zaraz w marzeniu słyszę z tym dźwiękiem łączące się modły ludów, których tyle ma być na świecie, pienia dziewie, srebrne głoski dzieci, westchnienia starców; — a nad to wszystko wznoszą się śpiewy aniołów i duchów niebieskich, to zstępując na ziemię, to wraz z ludzkiemi modlitwy wzbijając się aż do tronu Boga. — Budzę się więc już z świątobliwą myślą, przejęta nią śpieszę, w najsamotniejsze miejsce lasu, i tam wolna od roztargnień, uważnie, szczerze zaczynam z duszą moją rozmawiać; — badam ją — odkrywam błędy — oskarżam się głośno z przewinień moich, żałuję za nie, i wnet ufna w litości niebieskiego Ojca, podnoszę się duchem z prochu

pokuty, miejsce żalu czysta radość zajmuje, i modłę się, modłę gorąco! — Ale jak? — ale o co ja proszę? tego nie wiem; — nigdy po modlitwie przypomnieć sobie jej wyrazów nie mogę — i nie żałuję tego, wszak myśl moja do Boga dąży a on ją rozumie i pamięta. — Pragnęłabym jednakże widzieć kiedy kościół ręką ludzką wzniesiony — słyszeć zgodne prośby tysiąca ludzi, i moją z nimi połączyć; — pragnęłabym być choć raz uczestniczką tej cudownej uczy, w której Pan Nieba, stworzeniom swoim za posiłek się oddaje!

Odkąd Maryja objaśniając mi w religii dała mi poznać tę łaskę, myślę o niej bardzo często, wzdycham do niej, pragnę jej całą mocą serca. — Nieraz w samotności, zamknawszy oczy, żeby mi zewnętrzne przedmioty nie rozrywały, wystawiam sobie, że jestem w wspaniałej świątyni, słyszę jakieś harmonijne głosy, odrywam się od ziemi, i widzę w świetnych szatach, z białym włosem kapłana, podającego mi święty chleb życia. — O! wtedy taka woń rozlewa się dokoła, tak mi jasno w zamkniętych oczach, w uszach brzmia jakieś słowa pełne pociechy i radości, a ja wzruszona, padam twarzą na ziemię, i nie powstaję

dopóki ten cudowny obraz nie przeminie. — A to tylko obraz. — Czemże dopiero rzeczywistość być musi!

Cały tydzień bez święta upłynął, a chociaż przeczytałam poprzednią stronicę, tak mocno dziś wrosłam w ziemię, że tylko o niej myśleć i mówić jestem zdolna. — Szczęśliwa jestem na tej ziemi naszój; — nie ma potrzeby, nie ma wymysłu którego bym zaspokoić nie mogła, nie ma uczucia którem by Sara, a osobliwie też Maryja nie odpowiedziała; — często ona mi mawia, że nie powinnam żądać nic więcej nad to co mam, bo oprócz tego, że wymaganie takie byłoby oznaką niewdzięczności z mojej strony, mogłabym jeszcze zostać nieszczęśliwą, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, sposób naszego życia nie zmieni się nigdy.

Maryja ma słuszność — czuję to — a przecież nieraz zdaje mi się za ciasnym ten las, którego obszerności nie znam dotąd, chociaż w nim tyle lat spędziłam; nieraz kiedy czytam historję Izraelitów, lub kiedy mi Sara dziwne o królach i ry-

cerzach, o cygankach i księżniczkach powieści opowiada, ciekawość mię bierze, by widzieć to wszystko: owe pałace, owe zbrojne hufce, te tańce, turnieje, (bo co do wojny, téj bym nigdy widzieć nie chciała) te prace i zabawy ludzkie wśród których jednakże tak cnotliwą być można. — Z największem jednak zajęciem myślę o tych bogaczach, którzy bogactwo swoje dzielą z ubogimi. — Bogactwa! śmieszne jednak rzeczy dzieją się na świecie — białe lub żółte blaszki, papierki nawet stanowią bogactwo. — Nie zawsze to jasno rozumiem. — Ale pojmuję rozkosz, rozkosz rozdawana — ja sama tak szczęśliwa kiedy mi się uda odkryć nowy przedmiot jaki i podzielić się nim z kim drugim.

Zasmuci się Maryja jeśli przeczyta tę stronicę — jój się zdaje, że dopóty tylko jesteśmy szczęśliwe, dopóki nie pomyślimy o opuszczeniu schronienia, które nam Opatrzność wybrała, ale ja tak nie myślę; — można się cieszyć swoim bytem, chociaż się wie o innym rodzaju życia; można być ciekawą bez zazdrości. — A potem — dlaczegóż nie miałybyśmy kiedyś wrócić do kraju gdzieśmy się urodziły? — wszakże teraz po

wszystkich już morzach pływają okręty. — Nie wiem nawet czy to nie przecucie; ale ile razy pomyślę o ludziach i świecie, nigdy ich sobie za lasem, lecz zawsze za morzem wyobrażam. — Kto wie?

Nie wiem dlaczego od pewnego czasu leniwa się jakoś staję; chodzę po lesie, myśląc: sama nie wiem o czym, — nie szukam już nieznaných przedmiotów, bo téż zdaje mi się, że już tak wszystko mamy, iż nowe każde odkrycie do zbytku by tylko służyło.

Maryja niezmordowana w wynalazkach, odkryła nową gałąź przemysłu: — z gliny lepi formy rozlicznych naczyń, potem roztopiwszy pachnące i przezroczyste żywice, których mnóstwo po drzewach zbieramy, wlewa je w przygotowane formy, a po zupełném zastygnięciu, oczyszcza, równa, ogładza nożykiem z muszli, poleruje morską trawą, i już rozmaite przedmioty zdobią nasze mieszkanie; — najpiękniejszym jest wielki krucyfiks, jaśniejący jak promienie słońca, przejrzysty jak woda jeziora, a w żywicy z której go Maryja

ulała, sztucznie utkwione drobniuchne gałązki wznoszą się od podnóża i owijają go do połowy.

Wśród tego zajęcia, ja prawie nie robię — piszę, wyszywam wzory po tkankach, które Maryja z Sarą przysposabiają, rysuję drzewa, kwiaty, ptaki i motyle, maluję nawet; bom sobie z kwiatów i liści przyrzadziła różne farby, ale to wszystko niedokładne, nieżywe, — a podobno ludzie umieją piękniej jeszcze malować wszystko niż jest w naturze — chciałabym się téj sztuki nauczyć — chciałabym się wiele, o! bardzo wiele rzeczy dowiedzieć, których nikt mi tu wyjaśnić nie może. Nieraz kiedy Maryja i Sara przypominają sobie lata wśród ludzi spędzone, gubię się w domysłach. — Słyszę, że ludzie na wojnie zabijają jedni drugich, i za to ich chwala, nagradzają — kiedy Bóg wyraźnie zakazał zabijać, i nawet sami ludzie często za zabójstwa karzą swoich bliźnich. — To znów, że pracownicy i cnotliwi mniej mają znaczenia od próżniących, którym wolno błędzić, bo się w innym znajdują położeniu. — Nie rozumiem tego wszystkiego — i nie zrozumieć pewnie nigdy —

a przecież — o! jakbym rada poznać to dziwne życie, przypatrzeć mu się choćby z daleka!

PRZYPISEK MARYI.

Biedne dziecię! ziściła się więc moja obawa, ona tęskni za światem, za ludźmi, a ja takbym była szczęśliwą, gdyby mi Bóg pozwolił w tem ustroniu resztę życia przepędzić! Lecz teraz, nie śmiem już pragnąć tego — Emma nie będzie tu szczęśliwa, widzę to co dzień mocniej. — Umysł jój żywy chciwy wiadomości, a ja ich tak mało zebrałam! — dusza jój wielka chciałaby objąć świat cały, chciałaby się poświęcić dla szczęścia bliźnich, chciałaby się stać dla nich źródłem szczęścia, a tu cóż uczynić może! — Widzę w niej wielką zmianę — zdaje mi się nawet, że jój zdrowie cierpieć zaczyna. — O moja Emmo! moja córko! gdybym ja mogła spełnić twoje życzenia. — Nieraz marzę o środkach zbliżenia się do ludzi, układam dziecinne plany — buduję bajeczne jakieś statki — a potem myśl o niebezpieczeń-

stwie, o zgubie prawie pewnej, — niepewnym szczęściu dla Emmy, a może i o własnym moim smutku, gdyby mi przyszło opuścić tę cichą samotnię, wraca mię na ziemię. — Trzeba być cierpliwą i baczną — może też to usposobienie Emmy przeminie — a może Bóg mię natchnie szczęśliwą jaką myślą.

DAWNI ZNAJOMI.

W Londynie, na najludniejszej ulicy stał dom okazały, utrzymany starannie, cichy, spokojny, urządzone wytwornie; — na pierwszym jego piętrze mieszkał stary, bezzenny zasłużony pułkownik Bligh, na drugim wdowa Gilbert z córką swoją Elżbieta.

Właśnie na drugim piętrze, w niedużym saloniku, przy oknie na ulicę wychodzącym siedziała staruszka przędąc dla zabawy cienki biały len, i kiedy niekiedy wyglądając na przechodzących; przy kominku zaś, na którym niewielki do gorywał ogień, w ogromnym krześle siedziała niedbale młoda i prawie piękna dziewczica; nogi oparła na krawędzi ogniska, głowę spuściła na

rękę, i zatopiona w myślach wodziła błędnym wzrokiem po drobno wykładanej posadzce.

— Nie dobrze robisz Betty — rzekła łagodnie staruszka, — obchodząc się tak ostro z pułkownikiem.

Betty podniosła głowę, przeciągnęła rękę po czole, lecz nie zdołała zetrzeć z niego dwóch fałdów, które troski i nawyknięcie wyorało pomiędzy wydatnymi jej brwiami.

— Trzy razy przysyłał — mówiła dalej matka, — prosząc cię żebyś zeszała.

— Nie mogę kochana matko! — rzekła Elżbieta — dziś od rana w takim jestem usposobieniu, że towarzystwem mojem nie rozerwałabym pułkownika.

— To przynajmniej ja zejść — biedny chory nie ma do kogo przemówić.

Betty na znak potwierdzenia schyliła głowę, lecz nim pani Gilbert podniosła się od kołowrotka, ciężkie stapanie dało się słyszeć zdaleka, otworzono drzwi na rozcież, i wsparty na rękę starego sługi, Bligh wtoczył się do salonu.

Zadziwiona staruszka w milczeniu przysunęła do kominka wygodne krzesło, na które stary żoł-

nierz rzucił się bez ceremonii, i dawszy znak słuchającemu by wyszedł z pokoju, odetchnął po kilka razy jak gdyby daleką drogą zmęczony.

— Ach Elżbieto! — rzekł porywezo — gdybyś wiedziała jak mi trudno utrzymać się na moich starych nogach, nie kazałabyś mi się włóczyć po tych schodach nieznośnych.

— Żałuję — odrzekła zimno Betty, — że się pułkownik trudził, — ale:

— Ale nie kazałaś mię prosić? — wiem o tém, wiem bardzo dobrze! Znudziłem cię zanadto. — No! cóż robić. — Patrzajże co to jest być żołnierzem — choć wiem jak ci się już sprzykrzyło moje towarzystwo, przychodzę tu z projektem.

— O to nie trudno pułkowniku — ja czasem sto kilka projektów na dzień układam.

— I do czegoż one zmierzają Betty?

— Do tego, żeby się jakim sposobem raz jeszcze wymknąć ze staréj Anglii.

Mówiąc to Betty stłumiła głos swój dzwiczny, i spojrziała z boku na matkę, która jednak dosłyszawszy ostatnich wyrazów potrząsnęła lekko głową.

— Nie tracisz więc nadziei?

— O nie! nigdzie nie znalazłam pewności jéj zgonu — i dopóki Maryi lub jéj grobu nie zobacze, nie będę spokojną.

— Więc się może w pomysłach naszych zgodzimy?...

— Jakto? — miałabyś pan zamiar płynąć raz jeszcze?...

— Niestety! Kto przez pokój o własnej sile przejść nie może, jakże i po co puszczałby się za morza? — Mam inny zamiar. — Radźmy we troje — pani Gilbert! — sprawa ta wszystkich nas zarówno obchodzi.

Matka Elżbiety zbliżyła się do kominka, usiadła w milezeniu obok córki, i z uszanowaniem w którym się jeszcze jéj dawne przebijało ubóstwo czekała co powie pułkownik. Betty z dzieciństwa śmiała i niezależna, wzrosłszy w ciągłych podróżach, między obcymi, którym odwagą i nieugiętością charakteru umiała nakazywać szacunek dla siebie, nie czuła się niższą od nikogo na świecie, témbardziej téż od Bligha, który od kilku lat ją znając, dobrocią i łagodnością zepsuł może dumną dziewczynę. — Nawykła do dziwacznych pomysłów, które pułkownik tworzył nieraz w celu od-

zyskania swojej wychowanki, czekała spokojnie co powie.

— Najprzód więc — zaczął Bligh: — w jednym punkcie zgadzamy się wszyscy. — Ja pragnę raz jeszcze przed śmiercią ujrzeć Emmę — wy obiedwie Maryję — nieprawdaż?

Betty skłoniła głowę — pani Gilbert złożyła ręce, i wznosząc oczy z boleścią, rzekła:

— Ach mój Boże! — gdybyż to jeszcze było podobna!

— Bóg to wie! — Dwa razy opłynąłem wybrzeża Ameryki, dwa razy zwiedziłem brzegi Australii; Betty z swojej strony szukała zginionych po wszystkich zakątkach Oceanii, — do dzisiejszego dnia ludzie oplacani przezemnie szukają ich śladu — napróżno. Wszyscy po tysiąc razy powtórzyli mi: zginęły! — A przecież w tém starym sereu, ciągle coś szepcze, że żyją!

— O! i w mojem także! — zawołała mimowolnie Elżbieta.

— Otóż Betty — pamiętasz — kiedy spotkawszy cię z hrabiną Beaumont w Batawii zabrałem z sobą — kiedyśmy opłynawszy całe południowe wybrzeże Australii, dotarli aż do *Przy-*

ładka Pożegnania — pamiętasz, że wówczas konieczne jeszcze chciałem płynąć ku zachodowi.

— Tak — ale statek skołatany był burzami, i uparty kapitan nie chciał pomknąć dalej.

— Może on i nie źle zrobił, bo wiesz żeśmy zaledwie zdążyli dobrać się do pierwszego portu; byłby nas z sobą na dno morza pociągnął; — a potem, był to statek kupiecki — kapitan powinien był szanować powierzona mu własność. Jednak — wracając do mojej myśli — zawsze mi się zdawało i zdaje, że gdybyśmy jeszcze ze dwie doby pozęglowali na wschód — kto wie? — Owój nieszczęsnej nocy, i przez cały dzień następny wiecher dał w tamtą stronę — pamiętam doskonale — patrzyłem *w Sydnėj* przez kraty na wieترzne chorągiewki z niepojętym zajęciem.

— Na lekkim statku — rzekła po chwili rozmysłu Betty — w krótkim czasie mogły przebyć przestrzeń ogromną!

Wyrzekłszy to, zdjęła ze ściany niedokładną mapę Australii, którą Bligh w podróżach swoich za sowitą zapłatą skreślić polecił, i rozkładając ją na stoliku, wpatrując się pilnie w jedno jej miejsce, mówiła:

— Otóż ów przyładek pożegnania — słusznie nazwany — bo tam rozstaliśmy się na czas jakiś z nadzieją, ale dalej — dalej nie! — patrz pułkownik! ile tu nieznanego jeszcze kraju — ile wysp — przyładeków być musi: — o! czyliż wiatr nie mógł ich łódki pechnąć jeszcze o milę?

— Otóż właśnie — to ja sobie powtarzam od owego czasu, w którym mię choroba do tego domu przykuła — i marzę — posłuchaj Betty.

— O! mów, mów panie Bligh! — ja jestem niecierpliwa, nie mam w charakterze słodyczy, uległości jaką kobieta mieć powinna — ale umiem cenić dobroć i szlachetność twoją — a o mojej drogiej Maryi, o jój znalezieniu — nawet marzeń słucham z rozkoszą.

— Gdyby więc kupić okręt: — (wiecie, że mam majątek niemały) okręt ten opatrzyć na kilkoletnią podróż, wyrobić mu opiekę rządu, obsadzić ludźmi uczonymi i odważnymi, i — puścić go na wschodnie wybrzeża Australii?

— Nie mów mi, nie mów o tém panie! — zawołała wzruszona Betty — to tylko chwilowy pomysł zapewne?

— Bynajmniej, — jest to mocne postanowie-

nie. — Ale przedsięwzięcia takiego nie można powierzyć obcym — a ja — znacie moje zdrowie — jabyłm tylko opóźniał działanie.

— A ja? zapomniałżeś o mnie pułkowniku? — wykrzyknęła Elżbieta chwytając z żywością rękę starca. — Lecz w tejsze chwili spojrzała na matkę, po której bladych licach dwie łzy płynęły, spuściła głowę na piersi, a po chwili rzucając się do nog staruszki — zawołała błagalnie:

— Matko! czyliż już nie kochasz Maryi? —

W sereu biednej kobiety sprzeczne walczyły uczucia. Po odjeździe Maryi pogrążona w głębokim strapieniu opłakiwała jako straconą na wieki, a opuszczona od męża, zostawiona samej sobie, wspierana tylko przez lady Wilton, po jakim czasie poddała się wyrokowi nieba, i w tem poddaniu się znalazła pociechę. — Później, kiedy znalezienie klejnotu ukrytego przez pustą Elżbietkę uniewinniło Maryję, kiedy za staraniem lady posłano do Australii naglący rozkaz odesłania jak najspieszniej młodej wygnanki, a wspianiała opiekunka przeznaczyła znaczną sumę na zabezpieczenie jój przyszłości, i dozwoliła matce używać tymczasowo jój dochodów, Gilbertowa odetchnęła

po tylu cierpieniach; — nadzieja wstąpiła do jój serca; nadzieja — niestety! zawiedziona wkrótce, przez nadeszłą wiadomość o zniknięciu Maryi.

Pozbawiona obudwóch córek, sama na świecie, chociaż wolna od niedostatku, nie chciała opuścić chatki, która tyle wspomnień w sobie mieściła, zajęła się na nowo pracą, modlitwą, wspieraniem i pocieszeniem ubogich sąsiadów swoich, i znowu pogoda wróciła do jój duszy. — Niespodziewany powrót Elżbietki, i pomysł odszukania Maryi wyrwał biedną matkę z cichego uspokojenia — pobłogosławiwszy cnotliwy zamiar jedyne go dziecięcia, znów poczęła się lękać, spodziewać, czekać i płakać, — a pierwsze trzy lata nieobecności Betty, wyczerpały całą moc duszy biednej, znękanój matki — Wróciwszy do domu Elżbieta znalazła ją znowu spokojną, prawie niewykłą do oczekiwania, prawie obojętną.

Lady Wilton, oddawna słabego zdrowia, umarła zapisując znaczny kapitał Maryi, cierpiacój niewinnie z jój przyczynienia się, a w razie zupełnego jój zaginięcia, rodzinie nieszczęśliwój. — Spadek ten powiększył jeszcze dawny obrońca Maryi, który na tenże cel, cały swój majątek przy

zgonie przeznaczył. — Tak więc Gilbertowa była bogatą, nie ciesząc się z tego — Betty nie chciała używać dostatków, które jój się zdawały być nabyte ceną życia siostry zginionój, lub cierpiacój przez jój winę. Żądza odzyskania jój coraz mocniej dręczyła odważną dziewczę. W pierwszój podróży uznała prawdopodobieństwo swojego zamiaru, dlatego też z rozkoszą przyjęła propozycję pułkownika Bligh, którego poznała była w Ameryce, puszczenia się po drugi raz na odkrycie. Staruszka znowu została sama, znów trzy lata spędziła w modlitwie i pracy od której odwyknąć nie mogła, i znowu, poddając się zupełnie woli Boga, przestała się nawet spodziewać.

Dopiero kiedy po tysiącznych niebezpieczeństwach, Bligh i Elżbieta uznali niepodobieństwo znalezienia Maryi, i wrócili na nowo do kraju — kiedy Betty chcąc wynagrodzić choć w części tyle cierpień matce, poczęła ją otaczać nieustanną, tkliwą, serdeczną troskliwością; kiedy pułkownik zmusił ją prawie do zamieszkania wytwornego jego domu, i z przeznaczonych dla niej dochodów urządził jój życie wygodne, dostatnie, biedna kobieta, poczęła na nowo oddychać, poczęła lubić

to życie w którym tyle nieznanym doznała słodyczy — tyle pieszczot — tak gorącej miłości od tej córki, na którą zawsze z jakąś obawą poglądała dawniej.

I teraz — zamiar Bligha roztrącał jej szczęście, niszczył jej spokojność, groził jej wydarciem Elżbiety — którą ona całą mocą macierzyńskiego uczucia pokochała na nowo!

— O Betty nie jedź — wymówiła składając ręce — tyś moja jedyną pociechą!

— Matko! rzekła stłumionym głosem Elżbieta, i pochyliła nieśmiało głowę, matko! ja wrócę! — O! gdybyś wiedziała jakie głosy wołają mi ciągle — Maryja żyje!.... Jeszcze jedna ofiara matko!.. a coś mi tu mówi, że we dwie wrócimy!

Przyłożyła rękę matki do bijącego swego serca, a staruszka bledsza niż zwykle, pochyliła się nad jej głową i obejmując za szyję w milczeniu, chciała niejako przykuć do siebie ten ostatni promień szczęścia i miłości przy schyłku swego życia.

— W tej chwili otworzono drzwi pocichu, i stary sługa pułkownika, podał panu swemu pakę listów i dzienników. Bligh oczekując niespokojnie

końca sceny między Elżbietą i matką, począł je przerzucać; — nagle — otworzywszy list jeden rzucił okiem na podpis, potem przebiegł pismo oczyma — i powstając z żywością młodzieńca, poskoczył ku dwom kobietom, chwycił je w szerokie ramiona, i ściskając z całej siły, z trudnością wymówił — Emma! Maryja! — jest — żyją — tu.

A wskazawszy ręką ów list szczęśliwy, padł bez przytomności na krzesło.

Plymouth.

Do szanownego Sir Ryszarda Bligh
pułkownika.

Mamy zaszczyt uwiadomić niniejszem, iż osoby których śladu szukać poleconém nam było, według wszelkiego prawdopodobieństwa znalazły się.

W dniu 18 lipca, dwumasztowy okręt *Błyskawica*, z kapitanem Wilijam, przed dwudziestu miesiącami wysłany w celu naukowym, zawinął do naszego portu. — Na pokładzie jego znajdowały się między innymi podróżnikami trzy młode ko-

biety, które sam kapitan, po spuszczeniu w morze kotwicy odprowadził do miasta, i najał im mieszkanie w najlepszym hotelu, gdzie do księgi przejeżdżających zapisane zostały imionami: Miss Mary Gilbert. — Sara Birth. — Lady Emma.... Wilmoore. W pół godziny po objęciu mieszkania, damy te przyjęły Szeryfa, potem komendanta portu, następnie starszego aldermana i małżonkę szanownego barona Burke; poczem wymawiając się znużeniem, z nikim więcej widzieć się nie chciały, lubo najznakomitsi mieszkańcy cisną się do drzwi ich hotelu, i zapisują swe nazwiska.

Co wyraziwszy — mamy zaszczyt zostawać z najpoważniejszym szacunkiem.

Uniżonemi sługami

Frethead et Storkhouse.

P. S. Przed samem odejściem poczty wyszedł dzisiejszy numer dziennika, który dotąd na największą wiarę i poważanie zasługuje, dołączamy część jego, domyślając się, że opis który zawiera, obojętnym szanownemu panu nie będzie.

Wyjątek z dziennika morskiej podróży, odbytej przez kapitana Wilijam, PP. Smith, Coldbeam, Buttler etc., na okręcie Błyskawica, do brzegów północno wschodnich Australii.

— Po dwutygodniowym pobycie w port Jackson, z kąd geografowie i naturaliści nasi czynili wycieczki w głąb kraju, opatrzywszy się należyście w żywność i wodę, podnieśliśmy 20 sierpnia kotwicę, i poczęliśmy się posuwać szybko w kierunku północno-zachodnim; dotarłszy do przyładka pożegnania (Cap Adieu), przy którym zaczyna się wznosić pasmo skał przybrzeżnych, i tak gęstych, tak coraz groźniejszych, że tu prawdziwie trzeba pożegnać się z chęcią poznania ziemi, oddaliliśmy się ku otwartemu morzu o tyle, ile nam konieczna ostrożność nakazywała; — nie tracąc ziemi z oczu, zbliżaliśmy się do niej często, już okrętem, już szalupą, już nakoniec w małych łódkach, lecz zawsze pęd tak był mocny, skały tak blisko siebie, że przybić nigdzie nie było podobna.

26 sierpnia około południa powstał wiatr od wschodu, wzmagał się do samego wieczora, a pod noc, okropna, niepamiętna w téj stronie i porze

wybuchła burza. — Gwałtownie wzdęte fale miały statkiem straszliwie, i trzeba było użyć wszystkich rąk znajdujących się na okręcie, by jakkolwiek wykonywać obroty, które nas ocalić miały; — chłopcy okrętowi, służący, nawet dozorecy składów pracowali przez noc całą na pokładzie. — Z rankiem też uspokoiła się burza, niebezpieczeństwo minęło, ale razem okazało się, że smutny wypadek dotknął *Błyskawicę* i jej osadę.

W czasie silnych wstrząśnień okrętu, popękały łańcuchy wstrzymujące oksefty z wodą, i cały zapas napoju wypłynął z potrzaskanych beczek, i pomieszawszy się z innymi przedmiotami napełniał głąb statku.

Smutek ogarnął wszystkich; po tylogodzinnem nateżeniu każdy czuł mocne pragnienie, słońce powstając czerwono zapowiadało niezwykły upał, a tymczasem ledwie kilka baryłek wody pozostawało na zaspokojenie stu przeszło osób. — Kieliskami wydzielałem wodę; 28 sierpnia nie było już co dzielić. — Zwątpienie osiadło nasz pokład, odwaga i wytrwałość w pracy zwalniać się zaczęły; — chcieliśmy zawrócić nazad, lecz z je-

dniej strony łądziła nas jeszcze nadzieja, że może gdzie blisko będzie można przybić do lądu i opatrzyć się w wodę, — z drugiej — niepodobna było wracać ku wschodowi, pod wiatr, który dał silnie i z uszkodzonym przez burzę sterem.

Kazałem zwinąć żagle, by się jak najwolniej posuwać, a tymczasem bez ustanku wysyłałem drobne statki na zwiady; — tak minął dzień 29 — a oprócz silniejszego pragnienia podwojonego jeszcze niezwykłą na łódkach czynnością, żadnej nie odnieśliśmy korzyści. Noc się zbliżała, rozpacz ponura osiadła surowe twarze żeglarzy; szemrali głośno przeciw losowi, a ja choć obecny temu nie śmiałem nakazywać milczenia ludziom, którym bliska, nieuchronna a straszliwa przyszłość groziła.

Mało kto spał na okręcie, jęki i wyrzekania rozlegały się wśród mroku, statek zwolna się ślizgał po wałach, wszystkie szalupy i czółna skakały przytwierdzone do jego boków, bo już brakło silnych dłoni mogących wiosłem kierować. Posępny był to widok, każdy z nas czekał śmierci, gotował się na nią, usiłując wszelako obojętnym

twarzy wyrazem ukryć przed towarzyszami okropność wewnętrznego cierpienia.

Nagle ze szczytu masztu ozwał się głos tak słaby, że trudno było rozpoznać jakie wymawiał wyrazy, lecz w dźwięku jego taka brzmiała radość, że wszyscy zdziwieni zbiegli się na środek pokładu, by prędkiej usłyszeć co ją spowodowało.— Biedny chłopiec okrętowy umierając prawie z pragnienia, ostatnimi siłami wdrapał się po linach do połowy masztu, i tam rozciągnięty na żaglowej ławce, zdala od natrętnych a może i szyderczych spojrzeń silniejszych od siebie ludzi, czekał zgonu polecając się Bogu tkliwymi wyrazami, których go jeszcze tak niedawno pobożna matka nauczyła. — Już (jak później powiadał) odmówił modlitwę do Boga za konających; a śmierć nie przychodziła; — nawet chłód jakiś niezwycajny, coraz więcej ożywia i pokrzepiał zwątlone jego siły. — Wtedy chłopeżyna zdziwiony niespodziewanym przedłużeniem żywota, począł oglądać dokoła, i w szarym zmroku dostrzegł — przedmiot od tygodnia niewidziany — ogień! Ten znak życia, mieszkania ludzkiego w miejscu, które dotąd wszyscy za niedostępną uważali pustynię,

wyrwał z osłabionej piersi dziecięcia owe radosne brzmienie, które nas wszystkich tak silnie ku jednemu pociągnęło miejscu.

Wkrótce przekonaliśmy się z pomocą dalekowidza, że ogień ten pochodził z ziemi niezbyt w tém miejscu oddalonej, że nie był wielkim, i według wszelkiego podobieństwa umyślnie zapalonym przez ludzi.

Przekonanie to, ożywiło nas zupełnie; w bliskości mieszkają nasi współbracia! u nich znajdziemy pomoc w smutnym położeniu naszym; mniejsza, jakiego koloru skóra powleka ich ciało! — Szło tylko o to by się dostać do ładu. — Niepodobna ażeby ludzie na mieszkanie swoje obierali niedostępne wybrzeże, musi tam być choć małeńka przystań, musi być otwarta droga choćby dla jednego czółenka!

Cudowny zapal rozgrzewa te przed chwilą podrętwiałe serca, nowa siła wstępuje w dłonie, cała osada wydiera się do łodzi, zaledwie całą władzą swoją mogą utrzymać porządek. Wszyscy gardzą niebezpieczeństwem, bo z niem połączona jest nadzieja ocalenia; bo w szlachetnym usiło-

waniu lepiej roztrać się o skały, niżeli bezczynnie czekać nieuchronnej zguby.

Na koniecznych przygotowaniach zeszła nam reszta nocy; z pierwszym dnia brzaskiem trzy łodzie wypłynęły od okrętu na odkrycie bezpiecznej do ziemi przeprawy, słaby blask ognia widoczny jeszcze, służył im za przewodnika, a tymczasem pozostali żeglarze, jednomyślnie zanosili do nieba prośby o szczęśliwe powiedzenie się wyprawy.

Po czterech godzinach oczekiwania, ujrzelśmy wracające jedno czółno; — białe płótno powiewające na kiju oznajmiło nam zdaleka pomyślny skutek żeglugi. — Wprzód nim wysłańcy nasi przybyli do statku już dwie szalupy spuszczone, i w uniesieniu radości, cała prawie okrętowa osada rzuciła się do nich. — Surowo nakazałem pozostać na statku kilkunastu ludziom, i P. Coldbeam oddawszy zupełną nad wszystkim władzę, czekałem na wieści od ziemi. — Przybyli majtkowie przywieźli mnóstwo kokosowych orzechów, których mlekiem zaspokoiliśmy dostatecznie pragnienie, poczem wsiałem w szalupę i z trzydziestu ludźmi popłynąłem w celu powzięcia wiadomości

o nowo odkrytej ziemi, gdyż od tych co ją zwiedzili dowiedziałem się tylko, że na niej mnóstwo kokosów rośnie: — więcej nie uważali.

Wybrzeże najeżone było skałami, lecz tu i owdzie widać było przerwy w szeregach tych kamiennych strażnic, nakoniec po godzinie drogi, ujrzelśmy śliczną, gładką jak zwierciadło zatokę, weiskającą się między wysokie granitowe ściany, które naturalny port tworzyły. — Szerokość jej dostateczną była do obrotów okrętu jakim była *Błyskawica*, rzuciłem ołowiankę, głębokość okazała się odpowiednią.

Spokojnie zatem wpłynęliśmy do portu i zostawiwszy straż przy łodziach puściliśmy się na odkrycia.

Na skale najbliższej morza tlały jeszcze iskierki owego ognia, co nam tak dobroczynną był wskazówką, lecz przy nim żadnego śladu bytności ludzkiej.

Daliej -- piasek; — dalej jeszcze, cieniste banany, zielone palmy, słodkie kokosy tak wzrok i myśl naszą znęciły, że idąc za przykładem dawniej przybyłych towarzyszy naszych, siedliśmy pod szerokim zielonym cieniem, i ciesząc się tak

lubym wśród upału chłodem, zapomnieliśmy na chwilę o wszystkim innym.

Pan Buttler jednakże z ciekawym zajęciem oglądał na drzewa, brał w rękę piasek, zrywał mchy i zioła służące nam za kobierzec w tej chwili, a ja patrząc na głębokie jego zamyślenie, dostrzegłem wśród bujnej zieloności wązką, znać od częstego chodzenia wydeptaną ścieżkę, a na niej, pewno w czasie wilgoci wyciśnięty ślad wązkiej podeszewki. — Poszliśmy za tym śladem — i niezadługo wybitne znaki zamieszkania ucywilizowanych ludzi przedstawiły się naszym oczom. Ujrzelśmy najprzód dzbanek kształtnie wyrobiony z palonej gliny, podstawiony pod nacięty pień palmy, z której słodki sok spływając, przepełniał już naczynie, niedość silni przeciw takiej pokusie, wychyliliśmy orzeźwiający napój — dalej w miejscu nieco otwartym na szerokich muszlach topił się w słonecznym cieple żółty воск, a przygotowane białe, miękkie nieci świad; czyły, iż z tych materyałów świece wyrabiać miano — nowy dowód, że wybrzeże nie dzikich australczyków za panów lub gości miało. — Dalej jeszcze, dość nisko od ziemi uwiązane na

sześciu białych sznurach, bujało się między dwoma różanemi dębami niby czółenko, z giętkiej, nieznaniej nam materyi wyrobione, wysłane mehem i matami, zapewne huśtawka dla dziecka. — Dalej ogromny pies neufunlandzki, czarny jak heban, lśniący jak stal zaszedł nam poważnie drogę, obejrzał z podziwieniem: i roztwarłszy szeroką paszczę, groźnem szekaniem napełnił powietrze.

W chwilę potem usłyszeliśmy miły głos wołający — Nemrod! — nowoziemiec umilkł, a z poza drzew wybiegła młoda panienska ubrana wytwornie choć nie po europejsku. — Na widok nieznanomych zatrzymała się zdziwiona, ale niezadługo, uśmiech ożywił jej twarz, klasnęła w ręce, i zawróciła się szybko, wołając z radością:

— Maryjo! ludzie! ludzie przybyli!

Mniemaliśmy, że w bliskości znajdziemy znaczną osadę — tymczasem — okazało się, że jedynymi tego szczęśliwego kraju mieszkankami były trzy dziewice, które burza na lekkim czółnie z poblizkości Sydnój uniosła. — Przez ośm lat żyły tu same — przemysłem i pracą doszły do odkryć ważnych, zapewniły sobie nietylko wygodny lecz wytworny pobyt. — Patrząc na dziwy

otaczające ich mieszkanie, na olbrzymie prace, wąpiliśmy mimowolnie, aby to wszystko drobne białe rączki wykonać były w stanie — a przecież tak jest rzeczywiście. Zwiedzaliśmy wybrzeże wzdłuż i w poprzecz na kilka dni drogi, nigdzie ani śladu innych nie ma mieszkańców.

Wprowadziłem okręt do zatoki, naprawiony należycie wyruszy za dwa dni w drogę do Port Jackson. — Ludzie nasi odżyli po dziesięciu dniach pobytu na tem wybrzeżu obfitości. — PP. Smith, Buttler, Coldbeam i inni uczeni, pod przewodnictwem młodych pustelnic, które się na znakomite naturalistki wykształciły, zebrali wiele wiadomości i arcy-ciekawych przedmiotów, które zabieramy, niemniej jak gospodynie i przewodniczki nasze, i tysiące pamiątek ośmioletniego ich wygnania.

— Dnia 14 września. — Odpływamy jutro, — wybrzeże, które nas tak gościnnie przyjęło, jako nienależące do nikogo, zająłem uroczyście w imieniu rządu W. Brytanii, i nazwałem za zgodą towarzyszy moich: *Ziemią trzech sierot*.

tylko, nie mając bliskiej rodziny, pewna, że dawni jej znajomi nie spieszyliby się z tak jawnymi odwiedzinami, spokojną była zupełnie.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, i pułkownik Bligh, rumiany z podróży i radości, wbiegł żwawo do pokoju, spojrzął na trzy kobiety stojące blisko okna, a chwytając Emmę w objęcia:

— Cóрко mojej Anny! — zawołał — moja Emmo! moje dziecko! — i grube łyzy toczyły się po szerokiej twarzy żołnierza, a Emma przypominając sobie nagle dawne ze stryjem pieszczoty, ocierała je białą ręką, całowała łysą głowę starca.

— Ah! psotnico! — mówił Bligh już z uśmiechem, — wodzić mnie tak długo po morzach i łądach! — poczekaj! poczekaj.

I pieścił ją znowu, nosił na rękę jak dziecko, pytał o tysiąc okoliczności nie czekając ani na jedną odpowiedź; słowem, gorączkował ze zbytku szczęścia.

Maryja oczekująca lady Wilton, spostrzegłszy zbliżającą się niewiastę otuloną jedwabnym płaszczykiem, pewna już swego mniemania, spieszy naprzeciw niej mówiąc.

— Ach pani!

Lecz niewiasta odrzuciła kapturek ocieniający twarz jej blada, wyciągnęła drżące ręce, łzawym okiem zatoneła w obliczu Maryi, a wygnanka po głębokim, niewytłumaczonym wzruszeniu serca poznała zbliżenie matki, i najprzód w ramiona, potem dawnym zwyczajem do kolan się jej rzuciła! Również jak dawniej, staruszka złożyła na czole ukochanej córki błogosławiące dłonie, i wśród łez potoku obie zapomniały na chwilę o tyloletnim rozłączeniu, o smutkach, cierpieniach, o wszystkim, co dziecięcą ani macierzyńską nie było miłością.

Szczęście ich było głębokie, milczące; bo niema w ludzkiej mowie wyrazów na takie uczucia.

Emma szczebiotała jak ptaszek, przedstawiała stryjowi Sarę — żywą, serdeczną towarzyszkę swoje, opowiadając bez ładu ile wygod, ile przyjemności winną jej była; — stary pułkownik ścisnął przemytniczkę za ręce jakby dawnego kolegę, śmiał się do Emmy i głaskał razem Nemroda, który choć, o dziewięć lat starszy, poznał odrazu dawnego pana, i skowycząc radośnie, łasił się u nóg jego.

U drzwi tymczasem, jak posąg boleści stała



ELŻBIETA NAGŁĄ PRZEJĘTA BOLEŚCIĄ, RZUCIŁA SIĘ DO NÓG MARYI.

Elżbieta. — I ona śpiesznym krokiem wbiegła do pokoju, i ona chciała rzucić się na szyję siostry, boć dla niej jak ów wierny tułacz o którym mówi legenda, błąkała się po tak rozległej przestrzeni ziemi. — Ale kiedy spojrzała na Maryję tak dawniej ezerstwą i hożą, kiedy blada twarz wygnanki, wiotka i słaba jój postać, a nadewszystko przedwześnie siwiejące włosy uderzyły jój oko — serce Elżbiety mężne lecz tkliwe ścisnęło się boleśnie. Te piętna cierpienia, te wczesne zmarszczki, to zwatlenie całej istoty, komuż przypisać należało? — i ta sama ręka co tyle jój ciosów zadała, śmiałażby sięgnąć po uścisk braterski? — nie! nigdy!

Po długim, milezącem z matką powitaniu, Maryja poczęła pytać o ojca — o Betty...

Na to imię słodkim wymówione głosem, wykrzyk żalu i zgryzoty wydarł się z piersi Elżbiety, owa kobieta silna, nieustraszona dotąd, nagłą przygięta boleścią rzuciła się do nóg Maryi, a całując jój stopy z pokorą, przerywanym mówiła głosem:

— Ach Maryjo! męczennico mojej swawoli — przebacz! — Nie! nie podnoś mię! — nie zmu-

szaj mię do patrzenia na siebie. — Tu, w prochu — u nóg twoich zostanie — dopóty — póki miłością i poświęceniem nie złagodzę w własnej pamięci wspomnienia ciężkiej winy:

Po długich ledwie usiłowaniach udało się wygnance przycisnąć siostrę do serca; ale Elżbieta dotrzymała słowa; moralnie pozostała u nóg siostry do końca jój życia; — wyrzekła się siebie, każde uderzenie serca, wszystkie zdolności umysłu, na jój poświęciła usługi, a Maryja widząc ile siostra pociechy w tem znajduje, mimowolnie zaczęła przyjmować jój ofiarę.

Niedługo potem, dom pułkownika Bligh w Londynie nowym zajaśniał blaskiem. — Wiadomość o dziwném znalezieniu się siostrzenicy jego, rozeszła się wkrótce po całej Anglii; starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety dobijały się o sposobność poznania lady Emmy... wracającej z pustyni, z nieznanj części świata, a wracającej jak mówiono, nie dziedzicząc dziećciem natury, lecz najtroskliwiej ukształconą dziewczicą.

Bligh, w pierwszym uniesieniu radości nie za-

stanawiał się nawet nad wychowaniem swojej dziedziczki. — Znalazła się! — powtarzał uszczęśliwiony — mam komu zostawić ogromny majątek, bez zgryzoty i zawstydzienia będę mógł siostry pamięć wspominać! dość tego dla mnie!

Ale skoro poznał jak się jój umysł od dzieciństwa do rozwagi nawykły świetnie rozwinał, jaki dowcip i przenikliwość okazywała w naukach, które sama poznać pragnęła, by się niewiedomością nie odznaczać od osób z którymi żyć miała, jak dla jój myśli od tak dawna w nieznanym bujającej świecie nie nadzwyczajnem nie było: — wtedy do serdecznej życzliwości, jaką był powziął dla jój opiekunki i nauczycielki Maryi, przyłączyło się uwielbienie.

Niezdolny do ukrywania szczerj wdzięczności i czci dla tój kobiety, która tylko w własnej duszy czerpała tak niepojęte poświęcenie, tyle czystych cnót, tyle prawdziwego światła, nie mogąc się za tyle prac i ofiar wypłacić, i po mężku sądząc jój kobiece serce, mniemał, że głośnie hołdy dorzucać cokolwiek do szali jój szczęścia — począł słać jój czyny, jój rozum, w całym wyższem towarzystwie wzniecił dla niej poszanowanie,

wzbudził chęć poznania téj nadzwyczajnej kobiety. — Panowie i panie niezwykli podziwiać dzieci gminu, ciekawi jednak byli poznać wygnanek, a Maryja skromna, nieśmiała, tęskniąca za pustynią, musiała przyjmować świetne odwiedziny.

Zaszczyty te trudziły i zasmucały Maryję: cicha i pokorna z dzieciństwa, przyzwyczajona w ogromnych samotniach nowego świata uważać się za pyłek ledwie dojrzany w stworzeniu, z zawstyżeniem przyjmowała hołdy, z niechęcią patrzyła na nieustanny ruch i tak często błahe ludzi zatrudnienia, z przerażeniem uciekała od głośnego gwaru, który oni zabawą nazywali. Całym jój szczęściem było towarzystwo tak tkliwie kochanej, tak dawno niewidzianej matki, rozmowa i pocieszenie Elżbiety: całą rozrywką — długie godziny w samotności spędzone.

Sara, czynna, niezmordowana góralka, nagle w inny świat przeniesiona, obejmowała się wkrótce dokoła, i wnet objęła zarząd obudwu domów (bo dwie rodziny pod jednym mieszkały dachem), zajęła się serdecznie wszelkimi szczegółami gospodarstwa, i z prawdziwą rozkoszą poczęła znów

dogadzać Emmie, pieścić Maryję, stanowiąc mocno, nigdy się z nią nie rozłączać. — Wszelako kiedy kapitan Wilijam, dowódca *Błyskawicy*, wróciwszy z nowéj podróży oświadczył się z myślą pojęcia w małżeństwo sieroty, kiedy Bligh, Emma i Maryja poczęli jój przedstawiać, że nie należy odrzucać nowego zawodu, który jój niebo przeznacza, Sara choć ze łzami, opuściła towarzyski swoje. Wkrótce jednak przekonanie, że je często widywać będzie, urządzenie własnego domku a może i luby morski wiatr chłodzący codzien jój czoło, łzy te osuszył, i spokojność, wesołość do jój duszy przywołał.

Emma od tak dawna tęskniąca do świata, do ludzi, z rozkoszą ujrzała się pomiędzy nimi; — ciekawie poglądając na wszystko, mieszając się czynnie do zabaw i pracy, używała w zupełności szczęścia, które wszędzie i zawsze bywa udziałem czystej, młodocianej duszy. — Nauka religii, dopełnianie jój przepisów, szczytne tajemnice i służące ku ich wystawieniu obrzędy, zachwycały, unosiły jój ducha — wspierała nieszczęśliwych, sama spieszyła im z pomocą, własną ręką łzy lubiła ocierać. — Maryja, ukochana, uwielbiona

Maryja zawsze pierwsze w jój sercu zajmowała miejsce; ale i dla starego stryja umiała być tkliwą młoda lady Emma; — a oprócz tego, nauki, malarstwo do którego wielką chęć i zdolność miała, taniec w którym łatwo było celować téj, co z wiewiórkami na wyścigi skakała po lesie, stroje, przepych, pochwały, wszystko to tak wiele czasu i myśli jój zabierało, że dziwić się nie należy, jeżeli nie prędko uczuła tęsknotę za pięknym, lecz dzikiem, pustym, mimowolnym wygnaniem.

Elżbieta, niedawno jeszcze tak przedsiębiorcza i śmiała, tak głośna i nieugięta, z powrotem siostry stała się cichą, pokorną, uległą do niepoznania, — serce jój szlachetne z przyrodzenia, lecz drażnione tak długo wyrzutami i żądzą nagrodzenia mimowolnej winy — roztkliwiło się w chwili, kiedy zamiast hożej, kwitnącej, z całą siłą życia wracającej do świata siostry, ujrzała anioła dążącego myślą w niebo, opuszczającego widocznie tę ziemię.

Pojeła ona świętą czystość téj duszy, ale niezdolna jeszcze wznieść się do ochoczego poświęcenia, z boleścią patrzyła, jak Maryja codziennie

wyżej, codziennie silniej unosiła się w duchowe życie; — wzdychała do samotności, do odpoczynku w Bogu. — Elżbieta chciała siostrze przynajmniej ziemskie życie umilić, osłodzić, i dlatego kiedy tamta zatapiała się w rozmyślanii, ona żyła za nią na ziemi, ochraniała, wzmacniała zwątlone jój zdrowie, zmuszała ją do przechadzek, rozrywek, chciała ją wydrzeć niebu.

Minęły trzy lata od chwili w której okręt *Błyskawica* zawinął do Plymouthu; — w Warszawie, w bogato przybranem mieszkaniu, na katafalku aksamitnym całunem pokrytym, wśród mnóstwa świec jarzących, w białej trumnie, w takiejże szacie, z wieńcem białych róż na skroni i sama jak róże biała, spoczywała cichym, długim dla ciała snem młoda cudzoziemka. — Sługa boży półgłosem odprawiał modły za pokój jój duszy; — ciekawi i pobożni widzowie zmieniali się co chwila u drzwi otwartych; ale dwie kobiety, jedna u wezgłowia, druga u stóp trumny klęczały bez przerwy, obie w żałobie, obie we

lżach, tylko nie obie jednakowo pochyłone ku ziemi.

To jój siostra i przyjaciółka, to Elżbieta i Emma.

W rok po powrocie Maryi umarła jój matka — wkrótce potem Emma poszła za mąż — i jako lady Ellis-Wilborough — zadziwiła świat wielką skromnością i dobroczynnością swoją. Pułkownik Bligh, niedługo cieszył się szczęściem i enotami lubej siostrzenicy, zadawniona słabość wzmagała się coraz bardziej, i przecięła w końcu dni tak pełne zasług i pocziwój sławy. — Po jego stracie nagle zesmutniała Emma; — wszystko w Anglii ciemną się dla niej powlokło barwą, nie mogła znieść mglistego powietrza, lecz chociaż lekarze radzili jój zmianę miejsca, nie chciała się wybierać w podróż, nie chciała opuszczać widocznie gasnącej Maryi. — Ale sercu nawykłemu do poświęceń łatwo je w drugich odgadnąć.

Maryja zapragnęła opuścić Angliję, za zimno jój było w tym kraju, chciała odetchnąć pod błę-

kitnem niebem, napić się balsamiczną wonią południowych kwiatów, przypomnieć sobie choć trochę dawne zamorskie mieszkanie; Lady Ellis, której także do Włoch jechać radzono, wybrała się zatem z Maryją, lord Wilborough towarzyszył żonie, Elżbieta nie odstępowała siostry.

Przez Paryż i Wiedeń przebrali się podróżni do cudnej Italii; Emmy melancholija ustąpiła wpływowi uroczej natury i sztuki, która pod tysiącami postaciami kraj ten od tylu wieków osiadła — Maryja silniej oddychać zaczęła, nadzieja wstąpiła do serca Elżbiety — lecz na krótko. Najbieglejsi lekarze osądzili, że tylko ciągła zmiana klimatu zdoła utrzymać jeszcze przez czas jakiś wyniszczone siły dziewicy, i cała rodzina w nową puściła się podróż. — Przez Niemcy, Szwajcaryję, Saksonię, umyślili jechać do Krymu, do owój sławnej w dziejach Taurydy, nad Czarne morze, pod błękitne niebo, a ztamtąd może do stóp odwiecznego Kaukazu, w jaką miłą samotnię, by w małym kółku, zdaleka od obcych ludzi, przeżyć czas jakiś.

Śliczne to były marzenia, ale w Warszawie, przez którą wypadła droga, zabrakło sił Maryi,

i po kilkodzielnym cierpieniu, w inną, ważniejszą, pożądaną dla siebie wybrała się podróż.

W tydzień po jej pogrzebie lord Ellis uwięził z Polski zapłakaną Emmę, a Elżbieta osiadła w Warszawie, gdzie ludzie, mowa, zwyczaj, wszystko obcem jej było; ale gdzie siostra tak serdecznie kochana ostatnie wydała tchnienie, gdzie jej martwe złożono zwłoki.

Elżbieta znacznym majątkiem, którego już sama była dziedziczką, rozrzuciła na korzyść nieszczęśliwych; zostawiła sobie tylko, ile jej do skromnego utrzymania życia potrzeba było, a i tem jeszcze umiała się dzielić z drugimi. — Wielkim kosztem sprowadziła z Anglii wszystkie przedmioty, które na wygnaniu Maryja własną wyrobiła ręką, lub które jej do jakiegokolwiek użytku służyły, i dzieląc czas na wspomnienie siostry i modlitwę za nią, resztę życia spędziła siedząc przed szklaną szafą zawierającą te skarby przeszłości, lub klęcząc na powązkowskim ementarzu przy białym kamieniu, którego cudzoziemski napis nieraz przechodniów zwracał uwagę.

Opis życia przygód Maryi zebrała sama, i wraz z jej listami, dziennikiem, i wszystkimi pamią-

tkami, przekazała ostatnią swoją wolą, któremuś z angielskich muzeów, z warunkiem, by Wspomnienia Wygnanki do powszechnej wiadomości podanemi zostały.

Czy to życzenie spełniono w Anglii, nie wiem; — sądzę jednak, że wiedząc o niem, lubo niewezwana wyraźnie, powinnam była ziścić je tem bardziej, że mi do ręki wpadło pióro co tak chętnie dla młodego wieku pracuje, takby rade było stawiać mu przykłady niewinności, cnoty, obojętnego poświęcenia. — Jeżeli do serc waszych przemówił choć jeden obraz z życia poczciwej Maryi — darujecie mi pewnie kiedyś, kochani czytelnicy, że was długimi, drobiazgowymi może opisami przytrzymała za długo — że nie weselszy przedmiot do powieści obrała.

KONIEC.

600-

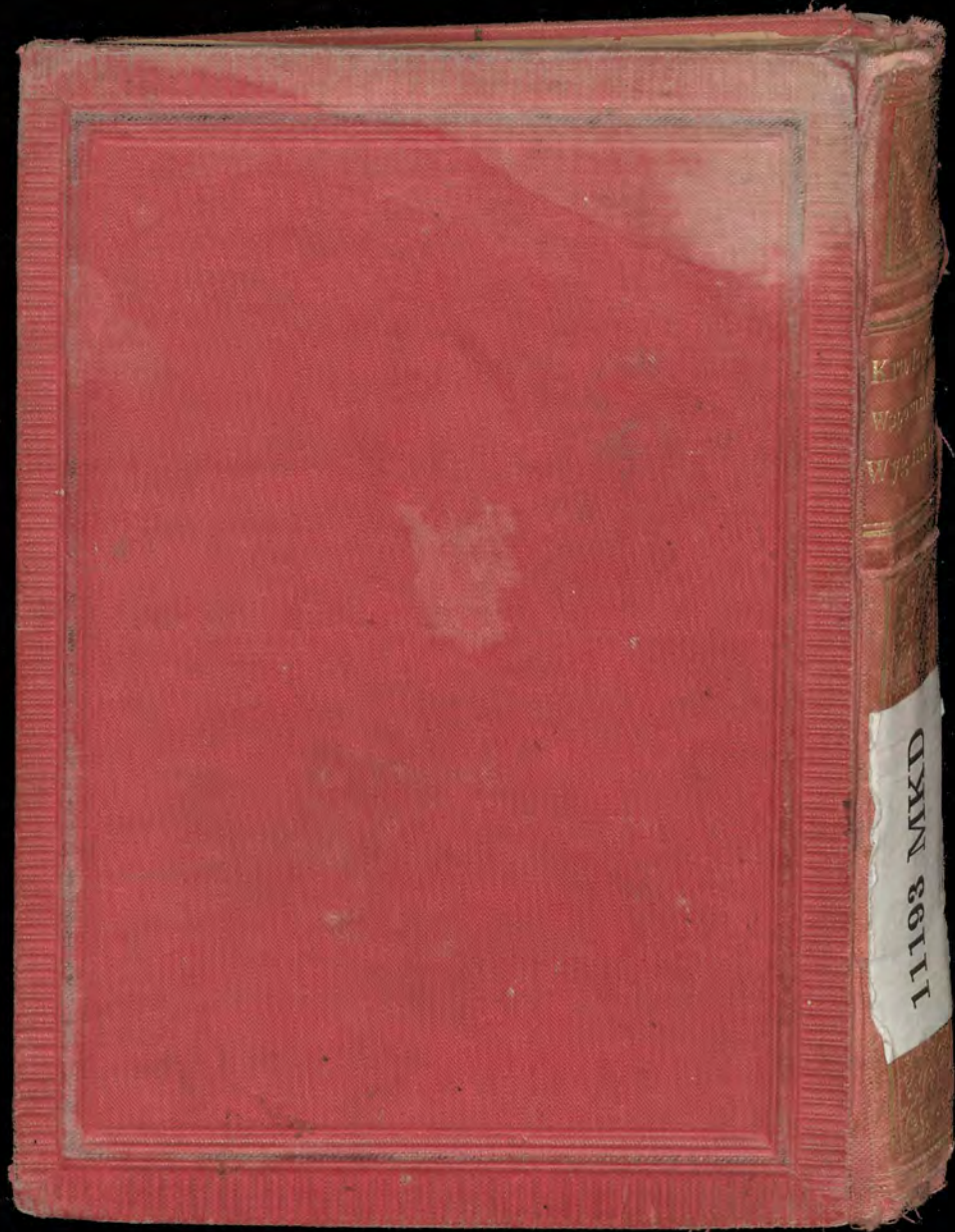
11193 MKD

8145 10565

WIMBP im. J. Piłsudskiego
w Łodzi



230000164702



11193 MKD